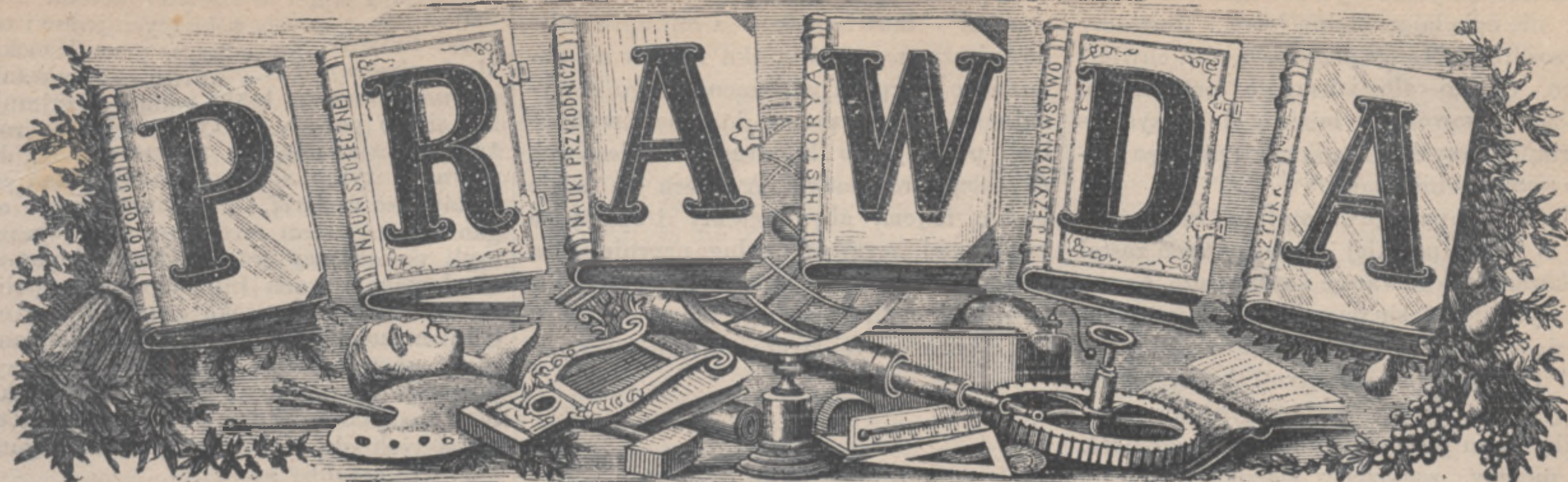
№ 22. Warszawa, dnia 31 (19) Maja 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Włodzimierska Nr. 2.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Od 8 lipca Redakcya i Administracya PRAWDY mieścić się będą w domu przy ulicy Zielnej nr. 7-a.

MAŁŻEŃSTWO Z ROZUMU.

„Czasy się zmieniają, a my w nich!" Ileż to razy w ostatniem dwudziestoleciu zasady i godła, uważane za święte, wymiataliśmy ze swego domu narodowego jako śmiecie, a natomiast inne, początkowo potępione i sponiewierane, zawieszaliśmy na jego ścianach jako przykazania życia! Ileż razy dyabłom, zgrozą ogólną uczernionym, przypinaliśmy skrzydła i nadawali barwę aniołów! Konieczność nauczyła nas wiele, bardzo wiele.

W tych przemianach wszakże panowała jedna konsekwencya: naprzód z rzeszy liberalnej występowali mesyasze, którzy prostowali ścieżki i których nikt nie słuchał; potem ukazywali się ich uczniowie z konserwatywnej, którzy zyskiwali wyznawców. Taką koleją przeszły ideje: pracy organicznej, rozwoju materyalnego, liczenia na własne siły, zaniechania spisków itd. Dziś powtarza je z dumą każdy, a jeszcze przed kilkunastu laty stanowiły sromotne piętno „pozytywistów" i „zaprzańców." I oto nowa metamorfoza!

Gdy niedawno jeszcze wykazywaliśmy, że bezwarunkowy związek Koła polskiego z prawicą w austryackiej Radzie państwa nie zapewnia Galicyi najsłuszniejszych korzyści i naraża na dotkliwe straty a przedewszystkiem rujnuje ją ekonomicznie, ruszano tylko w dziennikach ramionami na tę herezyę. Aż nagle... *tempora mutantur* — niezadowolenie z Koła zaczęło wzrastać, a jego długoletnia małżonka — prawica — budzić w galicyanach ostre gniewy, wreszcie w najbardziej zaczowawczym organie naszej prasy, w *Bibliotece warszawskiej* pojawił się artykuł d-ra Br. Łozińskiego, doradzający polakom austryackim zawarcie przymierza z... niemcami, z centralistami, a zerwanie go z czechami i słowieńcami. Nas logika rzeczy tak daleko nigdy nie zawodziła, a gdyby zawiodła, zapisanoby do naszego rachunku przewinień grzech niczem niezmazany. Ale konserwatyzmowi wolno być najradykalniejszym. Posłuchajmy tedy jego śmiałych przestrog najświeższej daty.

Według p. Ł. dotychczasowy związek Koła polskiego z prawicą dał Galicyi za mało a obiecuje jeszcze mniej. Trzeba więc szukać innego sojusznika, któryby przedstawiał lepsze warunki, i znajdujemy go istotnie w lewicy. Nie taki to straszny dyabeł, jak go malują. Temu stronnictwu Galicya zawdzięcza przecie najznaczniejszą swą zdobycz — wyrugowanie niemczyzny ze szkół i urzędów; ono również wyraźnie oświadcza, że nie widząc w niej zagrożonych interesów niemieckich, chce ją pozostawić samej sobie z obszernym zakresem autonomii. Przeciw temu protestują dwa względy: nasz tradycyjny sentymentalizm względem słowian oraz niechęć do „centralistów" i „liberałów." Sentymentalizm zawsze nam szkodził i trzeba go zamienić na „politykę realną," zwłaszcza, że niemcy nie wymagają od nas nieprzyjaźni dla czechów i słowieńców, ale „neutralności, ograniczenia się do własnego domu." Za przykład niech nam służą węgrzy. W okresie przedkonstytucyjnym (1861—66) zaciągnęli wielki dług względem posłów polskich, a jednakże potem nie wahali się działać ze szkodą Galicyi, obalając skłonne do zgody z nią ministeryum Hohenwart-Schaeffle (1870). Jeżeli ruch narodowy czechów i słowieńców nie jest sztucznym, utrzyma się bez pomocy galicyjskiej. Sami czesi również przekonywają, że jedynie własne dobro mają na oku; pogodziwszy się z niemcami, co jest prawdopodobnem, zapomną o swych braciach. „Zresztą — powiada p. Ł. — mówiąc otwarcie, wprawdzie całe lata rozprawialiśmy z czechami o federalizmie i jego wrzekomej zbawienności dla państwa, ale mimo to nie rozwiązaliśmy i podobno już teraz nigdy nie rozwiążemy zagadki politycznej: jakby się pogodzić dała egzystencya monarchii tak zorganizowanej, żeby zamiast kilkunastu prowincyj lub krajów koronnych w skład jej wchodziło siedemnaście państewek, a przynajmniej samodzielnych organizmów politycznych prawie obcych sobie." Krócej rozprawia się autor z uprzedzeniem do niemców i ich liberalizmu. Uprzedzenie to — według niego — jest niegodnem ludzi inteligentnych. „Któż sądzi niemców z *Neue Freie Presse*, wogóle z tej szumowiny dziennikarskiej i politycznej, z tej żydowskiej kliki prozelitów niemieckości, którzy od czasu do czasu obrzucają nas błotem w mniemaniu, że tem się zasłużą niemieckiemu narodowi?" Takie szumowiny posiada i nasza prasa, a nikt ich za wykładnik narodu nie bierze. Wreszcie — dodaje p. Ł. — nie należy utożsamiać niemców austryackich z prusakami, którzy nam służą w sądach za miarę całego plemienia a którzy są przez swych współbraci serdecznie nienawidzeni. „Nasza germanofobia, jako odwet sercowy za postępowanie w Poznańskiem, dotąd mogłaby być usprawiedliwioną, dopóki zbliżenie się do niemców byłoby obojętnem dla naszych własnych interesów narodowych lub gdybyśmy z równą szansą powodzenia i równą pewnością trwałych korzyści mogli wybierać między niemieckim a innym sympatyczniejszym dla nas sprzymierzeńcem. Ale ów sympatyczniejszy czesko-słowiański sprzymierzeniec okazał się i niedość silnym

i niedość stałym, żeby iść z nim można dalej, nie oglądając się na jutro... Jesteśmy na rozdrożu. Mamy przed sobą wóz, chwiejnego, czesko-słowiańskiego przymierza, a obok przewóz, w lojalnie i korzystnie sformułowanych warunkach trwałego *modus vivendi* z niemcami.“

Jeżeli nas pamięć nie myli, po raz pierwszy w prasie polskiej „przewóz“ ten został wskazany tak otwarcie i stanowczo, a swoje wychylenie się na widok publiczny zawdzięcza on tylko konserwatywnej banderze! Czy jest bezpiecznym? Ażebyśmy na to pytanie odpowiedzieli twierdząco, musiałby nam p. Łoziński niezbicie dowieść, że niemcy, znalazłszy się znowu u steru, nie wywiozą galicyan na pełne morze germanizmu i nie potopią, że słowiczo śpiewające lisy, wypuszczone z żelaz, litościwych przyjaciół nie poduszą. Cała przepaść, leżąca między dwoma narodami, w której kryje się tyle sprzeczności, nie przedstawia „trwałej“ rękojmi sprawiedliwego sojuszu. Z każdej skóry można zrobić trzewik według tej formy, na jakiem kopycie ją obciągniemy; więc również i niemiecko-polskie przymierze można przedstawić w bardzo nęcącem świetle, ale czy tysiączne doświadczenia historyi nie mają tu ostrzegawczego głosu? Czy sama logika, pamiętna wszystkich koniecznych antagonizmów, nie kładzie na tej sielance przyszłości złowrogiego znaku zapytania? Niemcy, którzy niechętnem okiem patrzą na wyosobnienie się Węgier, z pewnością nie popieraliby wyosobnienia się Galicyi, które p. Łozińskiego tak łudzi. Pokonani, szukający posiłków mogą nawet szczerze robić szerokie obietnice, ale odzyskawszy władzę, zapomnieliby o najszczerszych przyrzeczeniach. Małżeństwa z rozumu — a takiem małżeństwem byłby związek polaków z lewicą — czasem się udają, lecz daleko częściej zawodzą — obie strony. P. Łoziński zatem doradza próbę niebezpieczną i bardzo ryzykowną, wobec której „polityka wolnej ręki,“ rozjaśniana przez nas niedawno, jest drogą nierównie pewniejszą. „Zniżałaby ona nas — mówi autor — z roli uprawnionego i uznanego uczestnika rządów na stanowisko korpusu parlamentarnego, a wynajmowanego po prostu do pomocy w chwilach przez jedno lub drugie z walczących ze sobą stronnictw.“ A niech to sobie będzie najem, aby rzetelny i oparty na wzajemnej wymianie usług; przyniesie on galicyanom daleko więcej korzyści, niż tworzenie ogona prawicy, który się w kurzu ciągnie za jej strupieszałem cielskiem.

SPOŁECZEŃSTWO W ŚWIETLE BIOLOGII.

II.

Co to jest osobnik biologiczny, trudno wytłomaczyć w kilku słowach. Nad tym pojęciem łamali sobie głowy pierwszorzędni przyrodnicy*), a za daleko by nas zaprowadziła ta sprawa, gdybyśmy ją tu rozbierać chcieli. Każdy pojedynczy człowiek jest osobnikiem, ale organizm ludzki składa się z milionów komórek. W naturze zaś spotykamy oddzielne komórki organiczne, mogące prowadzić żywot niezależny, a zatem będące pewnymi osobnikami biologicznymi.

Skoro każdy osobnik (organizm ludzki) składa się z mnóstwa innych (komórek), pierwszy zowiemy wyższym, drugi — niższym. Ale z drugiej znów strony pewna suma osobników ludzkich stanowi nową całość — społeczeństwo; to ostatnie zatem ze stanowiska biologicznego uważanem jest za osobnik jeszcze bardziej złożony, niż organizm.

Przechodząc różne formy żyjącego świata, znajdujemy następującą skalę złożoności osobników biologicznych. 1-o osobnik pozostający w okresie komórki pojedynczej, która wszystkie dla życia jej potrzebne funkcye pełnić jest zdolną (np. ameba lub wymoczek). Przez prawo całkowania następuje skupienie komórek i stąd 2-o osobnik, pozostający w stadyum kolonii komórek jednakowych, pełniących jedne i też same funkcye (np. odkryte przez Haeckla Magosphaera). Przez prawo różnicowania pewne komórki takiej kolonii przyjmują na siebie pewne, im tylko właściwe role życiowe; zjawiają się pewne organa, dla pewnych tylko służące funkcyj. Stąd powstaje 3-o osobnik, przedstawiający organizm w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, czyli posiadający różnorodne z komórek zbudowane organa (np. pojedynczy polip, meduza, lub też wysoko zróżnicowany organizm ludzki). Przez prawo całkowania może nastąpić skupienie organizmów czyli powstaje 4-o osobnik, będący w stanie kolonii jednakowych t. j. złożony z mnóstwa podobnych do siebie wzajemnie organizmów (np. polipy morskie).

Przez prawo różnicowania pewne organizmy kolonii mogą przyjąć na siebie pewne im tylko właściwe funkcye. Jedne np. ją tylko odżywiają, inne służą do rozmażania, jeszcze inne do ruchu itd. Stąd też kolonia wstępuje w stadyum 5-o osobnika, złożonego z różnorodnych organizmów tj. z osobników, pełniących różnorodne funkcye życiowe.

W pojęciu osobnika tego najwyższego, według nas, rzędu dwa znowu widzimy stopnie. A mianowicie, organizmy, osobnik ten składające, mogą być z sobą złączone i funkcyonalnie i materyalnie (np. kolonia t. z. rurkonośnych), gdzie do wspólnego pnia przyczepione są ustroje odżywiające, rozmnażające, broniące itd., wszystkie cieleśnie z sobą spojone; albo też związek cielesny powoli zanika, a pozostaje tylko czynnościowy. Taki osobnik nosi wogóle miano społeczeństwa. Ale w pojęciu tego ostatniego znów kilka znajdujemy gradacyj, które stanowią ważne przejścia od kolonij, gdzie występują zależności czynnościowe i morfologiczne, do czysto czynnościowych. A mianowicie, najniższem społeczeństwem jest takie, w którem członkowie jego są o tyle cieleśnie z sobą związane, że jedną wspólną posiadają matkę, a dalej, że różnią się nietylko swemi czynnościami, ale również i *budową* ciała. Widzimy to np. u trzmieli, gdzie cały rój stanowią dzieci jednej matki, a osobniki robocze, trutnie i samice, stosownie do trzech różnorodnych właściwych im czynności społecznych, posiadają budowę odmienną. Takie społeczeństwo nazwać można *rodem*. Typ

*) E. Haeckel *Die generelle Morphologie der Organismen.* 1886.

---

*)

„Kołatał“ — i nie „otworzono.“

Nigdy Łukasz nie mógł zapomnieć tej chwili, gdy po raz trzeci brał się do odlewania. Ile razy go kto zagadnął potem: a jak tam było z piastami w Drzemlinie— żal mu cisnął serce i na łkanie się zbierało. Nie dziw! Formę tak starannie zrobił, że trudno było już lepiej. Dwa dni na to poszło. Pierwej piasek trzeba było siać przez sito, potem go zwilżyć i napełniwszy nim ramy, mocno młotem drewnianym tłuc. Tłuc póty, aż stężał zupełnie i wypaść z ram nie mógł.

A małoż to mozołu sam model piasty wycisnąć w tej zbitej masie! Miał starą piastę od jakiegoś zużytego powozu. Walała się gdzieś na strychu wozowni pańskiej, więc kosztem zafundowanej furmanowi siwuchy dostał ją. Służyła mu ona za wzór. Zatapiał ją do połowy w piasku jednej ramy i bił w jej okolicach póty, aż się przestała ruszać. Miałkim węglem popruszył i na pierwszą ramę kładł drugą, wygniatając tak samo piasek, ile wlazło. Ileż uwagi a zręczności trzeba było, żeby odjąwszy wierzchnią ramę — po odlewniach płaszczem zwaną — bez uszkodzenia modelu ze spodniej wydobyć piastę!...

I kiedy już to wszystko wykonał, gdy wysuszywszy formę, wlał w nią surowiec i najpewniejszy był powodzenia, jakby się świat cały zmówił, utrapienie po utrapieniu spadało na jego biedną głowę. Piasta tego razu mniej przypominała „żużle“ zbierane przez dzieci dozorcy na zgliszczach starej smolarni, ale za to dziwnie była podobna do urny starożytnej i poszczerbionej.

Ot, poprostu wylała się do połowy tylko!

Byłoż wesoło ślusarzowi? Co powiedzą chłopi, którzy zaufawszy słowom jego, naznosili starych saganów i garnków? Niejeden się spodziewał, iż zwrot tych rzeczy, stosownie do obietnicy, nastąpi w formie nieznanej im dotąd, lub przynajmniej, że ujrzą na szyjach swych koni dzwonki prawdziwe zamiast dawniejszych grzechotek blaszanych. Co powie pani leśniczowa, której obiecał odlać moździerz? A proboszcz? Ten najwięcej sobie obiecywał rozkoszy. Dzwon, oszczędniej odlany przez Łukasza za pieniądze składkowe parafian, rzewnemi a rozgłośnemi dźwiękami swojemi miał pobratać z nim wierzące dusze...

Kociej jednak natury był ślusarz — nie pozwolił się zwątpieniu w zdolności własne rzucić grzbietem.

— Głupiż ja, głupi!... — myślał. Toć to nic innego, tylko para, co się zbiera w formie, a wyjść niema kędy, pruje mi piastę! Alboż i to: nie całkiem się odlało! Jak też mogłoby się odlać, kiedy nie dobry był otwór i zatkać się musiał?

Otóż takie to zbawcze myśli nawiedzały ciemną głowę ślusarza. Zbierał wspomnienia, jak sobie niemiec radził w podobnym razie. Wreszcie zaklął: „Bodaj cię, niemczuro, ognie spaliły z twoją chytrością!...“

Nie mógł dalej odlewać — „nie sądzono“ mu było — jak powiadał. Próbował właśnie robić różne szpary w formie, mające zastępować wentyle do odprowadzania pary. Zdawało mu się, że już jest na tropie.

— Tata, o tata! — krzyczał wyrostek cały zziajany i obłocony — matka zaniemogła dziś z rana!... Idźcie tam żywo. Tak mnie kazała powiedzieć...

— Masz tobie!... Ha!... Bodaj cię... Gdzie krótko tam się rwie.... Cóż jej jest, nie mówiła?

— Felczer mówił... że tyfus...

Tegoż samego dnia dozorca smolarni odebrał rozkaz od leśniczego, żeby kuźnię opróżniono, bo ma być kilku kowali przysłanych z Drzemlina. Z dalszych wsi najęto robotników do zbierania łuczywa z pniów, potrzeba więc było na gwałt robić topory i rydle. Ludzie ci lada dzień mieli przyjść.

Właściciel drzemlińskich lasów i smolarni, przyciśnięty przez Dawida Tucznego, musiał przyrzec, iż dziegieć mu sprzeda. Za to nową zaliczkę otrzymał i miał

wyższy stanowić będzie np. społeczeństwo mrówek, które niema już jednej wspólnej matki, lecz jest już raczej *zborem* rodzin, w którem jednak spotykamy jeszcze morfologiczne, cielesne różnice, przywiązane do funkcyonalnie różniących się od siebie osobników (robotnice, żołnierze i osobniki płciowe), skutkiem czego dowolny wybór czynności gromadnych jest tu jeszcze niemożebnym. Stąd przejście do społeczeństwa w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdzie występuje właściwy pierwiastek czynnościowy. Do takich należą społeczeństwa wyższych zwierząt (np. małp) i ludzkie.

Tak tedy znajdujemy następujące stopniowania złożoności osobnikowej świata organicznego: 1) komórka, 2) kolonia komórek, 3) organizm, 4) kolonia organizmów jednorodnych, 5) kolonia różnorodnych: a) z cielesną zależnością osobników, b) ród, c) zbór, d) społeczeństwo w właściwem tego słowa znaczeniu.

Powiedzieliśmy wyżej, że w biologii porównania tylko wtedy rozjaśnić nam mogą pewne zjawiska, jeśli trzymają się idei genetycznego związku i stopniowania. Jak więc nie miałoby żadnej podstawy naukowej przeprowadzanie ścisłej paraleli pomiędzy osobnikiem pierwszego rzędu, komórką, a osobnikiem rzędu trzeciego czyli organizmem; jak naciąganemi i sztucznemi byłyby ścisłe podobieństwa i porównania przeprowadzone pomiędzy prostemi funkcyami komórki a złożonemi i różnorodnemi funkcyami organizmu, tak samo niewłaściwem i mało pożytecznem byłoby porównywanie organizmu z osobnikiem najwyższej biologicznej grupy — ze społeczeństwem; nie dziw też, że szukano konsekwetnie w społeczeństwie pępka!

Upodabnianie społeczeństwa ludzkiego do organizmu, odszukiwanie w pierwszym układu nerwowego, zmysłów, krążenia krwi, organów trawienia itd. — jak to czyni Spencer — nie może być z tego względu nienaciąganem i ściśle naukowem. Jest to raczej łamigłówka, niż rzecz na poważne, naukowe traktowanie zasługująca. Społeczeństwo, przedstawiające najwyższy szczebel rozwoju osobników, oparte na czysto czynnościowej zależności jego członków, przejawiającej się w duchowem ich życiu, posiada tyle *nowych, specyalnych*, jemu tylko właściwych objawów biologicznych, że ich w życiu organizmu odnaleźć niepodobna. Skoro zaś porównania pomiędzy najwyżej stojącem społeczeństwem i najbardziej rozwiniętym organizmem z powyższych względów do celu żadnego nie prowadzą, to i paralela pomiędzy rozwojem społecznym od jego form niższych do coraz wyższych z jednej strony, a rozwojem organizmu od form prostych do coraz bardziej złożonych z drugiej — jak to również czyni Spencer— także tem samem ścisłej krytyki nie wytrzymuje.

To, co tu powiedzieliśmy, stoi na pozór w sprzeczności z ogólnie w biologii przyjętem prawem biogenetycznem. Wiadomo, że organizm każdy w indywidualnym swym rozwoju przechodzi stadya niżej od niego stojących osobników, jako to: jajko jest komórką, później staje się kolonią, czyli agregatem jednakowych komórek, wreszcie dopiero staje się organizmem i to najprzód odpowiadającym ustrojom niższym, później zaś coraz wyższym.

Otóż, mógłby kto tu nadmienić, że skoro społeczeństwo uważamy za osobnik biologiczny na najwyższym stojący szczeblu, to w rozwoju jego indywidualnym od najpierwszych zaczątków, t. j. od pierwszych śladów zawiązku społecznego życia, do coraz wyższych stanów, winniśmy spotykać analogie, odpowiadające niższym osobnikom biologicznym (komórce, agregatowi komórek, oraz organizmom prostszym i bardziej złożonym). Ale ten zarzut sam przez się upada, skoro wspomnimy, iż prawo biogenetyczne ma dotąd tylko znaczenie morfologiczne, opierające się na stosunkach formy i budowy cielesnej, gdy tymczasem rozwój społeczeństwa, we właściwym tego słowa znaczeniu, zaczyna się dopiero tu, gdzie wszelkie stosunki morfologiczne zupełnie działać przestają, gdzie znika wszelka zależność cielesna, a zaczyna się czysto czynnościowa, i to czynnościowa w jednym głównie kierunku — w kierunku duchowego życia. Stąd też brak wszelkiej bliższej, genetycznej, przyczynowej zależności pomiędzy istotą organizmu i społeczeństwa.

Każdy biolog. pojmujący stopniowy rozwój wszelkich objawów życiowych, widzi pożytek naukowy dla socyologii nie w przeprowadzaniu paraleli pomiędzy społeczeństwem i organizmami, lecz w śledzeniu samego już życia społecznego i najrozmaitszych jego objawów śród zwierząt, dzikich ras ludzkich i grup ucywilizowanych. Od tej dziedziny poszukiwań, dotąd mało jeszcze bardzo uwzględnianej, socyologia, sądzimy, wiele bardzo skorzystać może. Badania porównawcze tego rodzaju wyjaśnią prawdopodobnie wiele stron życia społecznego, dotąd mało dla nas zrozumiałych.

Z tego faktu, iż wyższe osobniki biologiczne są tylko połączeniem niższych, daje się wyprowadzić nadzwyczajnej doniosłości wniosek. Jeśli organizm jest sumą tysięcy komórek, to wszelkie własności jego muszą być tylko sumą i kombinacyą własności tych wszystkich pierwiastkowych jego części; każdy objaw życiowy organizmu warunkuje się pewnemi właściwościami protoplazmy składających go komórek. Toż samo dzieje się i z innymi osobnikami; wzrost i wszelkie inne objawy życiowe kolonii polipów, jako całości, sprowadzić się dają do cech organizmów, które ją tworzą. W społeczeństwie powtarza się to samo. Jego życie, jego instytucye i dążenia są niczem innem, jak tylko sumą i kombinacyą fizyologicznych i psychicznych właściwości jednostek — ludzi. Ale niektórzy uprawiacze socyologii zapominają, zdaje mi się, o tym ważnym fakcie i zamało uwzględniają indywidualizm w pojęciach społecznych. Badanie praw bytu społeczeństwa jest zdaniem socyologii, człowiek zaś, jako jednostka żyjąca i myśląca, jest przedmiotem badań biologii i psychologii. A jeśli prawa bytu społeczeństwa warunkują się życiem osobników je składających, jak wielką jest doniosłość obu powyższych nauk dla socyologii!

Najpiękniejsze dążenia społeczne stają się nieraz ułudami wobec przyrodzonych właściwości człowieka, zależnych od budowy i funkcyi jego ciała. Wrodzone mu instynkty samozachowawcze i samolubne, popędy i żądze płciowe, tysiące fizyologicznych własności naszego ciała — wszystko to *musi* być zestawione i uwzględniane, jeśli chcemy społeczeństwo na nowe pchnąć drogi, jeśli instytucye nasze nie mają nadaremnie walczyć z niepokonaną naturą ludzką i powiększać tylko napróżno ilość cierpień i tak już tyle bolejącej ludzkości!

Prócz porównawczego badania rozwoju społecznego życia, prócz uwzględniania przyrody człowieka, socyologia i w innym kierunku korzysta z badań biologicznych. Ponieważ społeczeństwo jest tylko dalszym ciągiem jednego łańcucha biologicznego rozwoju, *ogólne* więc prawa tego ostatnie-

---

o czem spędzić sezon kąpielowy za granicą. Futor leśny lada dzień zmieni się w rojowisko ludzi o parze czarnych i gruboskórych rąk, o plecach w łęk zgiętych...

— Kochany Łukaszu — mówił dozorca— nie masz co popasać dłużej; nogi za pas i do domu, bo jak się rządca dowie, że kuźnię zajmujesz, zagryzie mnie ze szczętem!...

— Ha, cóż robić, dobry panie, z cudzego wózka, jak to mówią, i do błota zeskocz, kiedy ci go nie pozwolą... Ale ja i tak zbierałem się już do domu... Żona mi zachorowała...

— Cóż jej takiego?

— Chłopiec powiada, że tyfus... Tak felczer mówił... Pan Bóg pokarał i dosyć!... A może kto urok rzucił?... Oj dałbym ja jemu, jak znachorowi, co kilka lat temu tumanił mnie, że żonkę mi z febry wyleczy, a ja głupi wierzył jemu... O mało biednej na tamten świat nie odprawił... Bił-że ja go wtedy bił, aż aniołowie w niebie musieli słyszeć... Popamięta on mnie ohydnik!... Pan powiada, że trzeba się stąd wynieść?... Trudno!... Skacz wraże, jak pan każe!... Jednego mi tylko żal... Tyle pracowałem, żeby odlać tę piastę, ale nie sądzono... nie sądzono...

— Niema rady, brateńku!.. U siebie zrób piec i odlewaj...

— A skąd miecha wziąć? Skąd węgli? Z palca nie wyłamię... Wiedziałby ja, panie, co robić, żeby nie pieniądze... Ho, ho!.. Miech najmniej pięćdziesiąt rubli kosztować będzie...

Podrapał się w głowę, a potem sapnął.

Później już tylko widać było wóz którego ś z mieszczan jelnickich, a na wozie tym leżały narzędzia ślusarza i surowiec. Sam Łukasz z lulką w gębie i pognębieniem na twarzy a żalem w duszy siedział tyłem do konia, spuściwszy nogi na dół.

Po lesie rozlegał się śpiew z mnóstwa piersi pochodzący, zdaleka wspaniały, z bliska wrzaskliwy i ochrypły.

Byli to chłopi najęci z za Dniepru do zdzierania kory brzozowej. Dziegieć z niej miał być dla Dawida Tucznego...

* *
*

Szczególny miała wygląd chałupa Łukasza Żórawia.

Stała na samym skraju miasteczka. Podobna byłaby do chlewa w niejednym folwarku, gdyby chlewy opatrywano oknami i kominem. Ot, poprostu na zrębie bierwion, popretykanych mchem siwym, spoczywało kilkanaście niezgrabnych i okopconych snopów słomy, łudząc pozorem dachu. Dwa czteroszybowe okienka zprzodu, jedno z tyłu; w nich często ukazywały się dwie główki o bladych twarzyczkach i lnianych włosach, posplatanych ręką przyrody, nie krępowanej ani mydłem, ani grzebieniem...

Przy chałupie rozciągnął się kawał gruntu, na nim, bliżej, kilka grusz karlic, dalej nieco — grzędy i bruzdy. Z pomiędzy tych ostatnich wyglądały zielone szeregi liści kartoflowych, zwiastunów przyszłej strawy codziennej dla całej rodziny...

Tutaj Łukasz postanowił skończyć to, co w Drzemlinie z takim mozołem zaczął.

Miał szczupłą kuźnię, potrzebną mu do ślusarskiej praktyki. Przerobił piec kowalski tak, iżby mógł służyć do topienia surowca i znów duszę swą napełnił trwogą, nadzieją i obrazami tęczowej przyszłości...

Miech, trochę nadpsuty, nie działał dobrze. Nieraz trzy, cztery godziny musiał Łukasz nim robić, zanim z mozołem wielkim udawało mu się kruszec stopić. Najtrudniejszą częścią pracy było samo odlewanie: powtarzało się to samo, co pierwej. Albo wychodziła piasta całkowita i podziobana jak po ospie, albo znów gładka, ale niecała.

Znał ślusarz przyczynę: para nie miała kędy ujść. Co nie przechodziło sił jego — robił. Ale wszystko „psa było warte," jak powiadał.

Jednego razu, nieugięty dotąd niepowodzeniem, przygotował nową formę. Nagle odskoczył od niej... Splótł ręce na głowie i stanął, jak wryty, na jednem miejscu.

— O Jezu, Jezu mój! —jęczał żałośnie— teraz wiem, co mi tak długo psuło wszyst-

go są też samo, co i ogólne prawa pochodu społecznego. Do takich praw ogólnych należą: prawo całkowania i różnicowania, podziału pracy, walki o byt, doboru naturalnego, zależności wzajemnej funkcyj, przystosowania, dziedziczności, podrzędności i wreszcie prawo postępowego i wstecznego rozwoju. Prawa te, wykryte przez myślicieli-biologów, coraz ściślej wplatają się w nauki społeczne i wielką powinny mieć dla nich doniosłość.

Józef Nusbaum.

POŚMIERTNE DZIEŁO KANTA.

Korespondent *Prawdy* z Heidelberga wspomniał niedawno o odkryciu pośmiertnego dzieła Kanta p. t. „Przejście od metafizycznych zasad nauk przyrodzonych do fizyki“ (*Uebergang von den metaphisischen Anfangsgründen der Naturwissenschaft zur Physik*). Wiadomość ta, lubo pochodzi z najpoważniejszych dzienników niemieckich, nie jest zupełnie dokładna. Rękopis Kanta, obejmujący dzieło powyższe, znany był w ostatnich latach wielu uczonym specyalistom, od roku zaś 1882 ogłasza go z drobnemi skróceniami znany bibliotekarz królewiecki dr. Rudolf Reicke w czasopiśmie *Altpreussiche Zeitschrift*. Skrócenia wydawcy nie dotyczą wcale rzeczy istotnych; pomija on tylko ustępy, kilkakrotnie się powtarzające, tudzież uwagi, które sędziwy myśliciel kładł na maryginesach rękopisu dla wsparcia osłabionej już pamięci, a które z nauką żadnego związku nie mają. Znajdują się tam—interesujące dla biografa — wiadomości o osobach, które Kanta odwiedzały, o bankietach i uroczystościach, na które zapewne był zaproszony, zapiski o pensyi, wypłaconej służącemu itd. Mimo publikacyi dra Reickego uważał nowy nabywca rękopisu, pastor Albrecht Krause w Hamburgu, za stosowne zrobić sobie niewinną reklamę i roztrąbił po świecie, że odkrył nowe dzieło Kanta. Dziwny bo też to człowiek ten pan pastor Krause! Nie można mu brać za złe, że napisał dwa grube dzieła (*Die Gesetze des menschlichen Herzens* 1876; *Kant und Helmholtz* 1878), które zyskałyby wiele, gdyby były cieńsze, bo pilność i gruntowność, to rzecz w Niemczech powszechna. Ale na tem nie koniec. Wiadomo, że w r. 1881 przypadała stuletnia rocznica pojawienia się pamiętnej *Krytyki rozumu* Kanta. Lunął tedy w Niemczech prawdziwy deszcz artykułów, broszur, książek i rozpamiętywań a prof. Vaihinger wystąpił z monstrualnie wielkim „Komentarzem“ do *Krytyki*. Pastor Krause stawił się również ze swoją cegiełką i obdarzył półki księgarskie pracą p. t. „Popularny wykład Krytyki Rozumu Kanta“ (*Populäre Darstellung von Kants Kritik der reinen Vernunft* 1881). Pretensyonalna ta i słaba książeczka nie zwróciła na siebie uwagi powszechnej wewnętrzną wartością, ale stała się powodem prawdziwej *cause célèbre*. W tym samym bowiem roku przyznała komisya, złożona ze znakomitych profesorów: Wundta, Heinzego i Laasa, nagrodę, wyznaczoną przez jakiegoś bogatego bankiera za popularne przedstawienie *Krytyki rozumu*, książce p. Lasswitza p. t. „Nauka Kanta o idealności przestrzeni i czasu“ (*Die Lehre Kants* itd. 1881). Zaledwie laureat zdołał wetknąć do kieszeni tym razem istotnie dość gruby trzos złota, pojawia się w lipskich *Grenzboten* artykuł jednego z przyjaciół pastora z zarzutem, że książka Lasswitza jest niesumienną kopią „Popularnego wykładu“ Krausego. Jakto? Trzej profesorowie uniwersytetu nie poznali się na plagiacie? Proszę sobie wyobrazić, jaka burza spadła na głowę Lasswitza i jego sędziów. Kto tylko zasłyszał jeden z dowcipów Schopenhauera o nicuctwie profesorów, miał sposobność teraz go zastosować. Kto zaś zechciał przeczytać pracę Lasswitza i Krausego, mógł się przekonać—jak to zresztą Wundt, Heine i Laas natychmiast w *Grenzboten* oświadczyli — że zarzut plagiatu jest zupełnie bezpodstawny. Sprawił jednak tyle, iż książka Krausego rozeszła się szybko w dwu wydaniach. Po tak świetnem powodzeniu uwierzył snać autor w potęgę reklamy i puścił w świat błagę o odkryciu rękopisu Kanta. Rękopis rozejdzie się teraz w kilkakroć większej liczbie egzemplarzy.

Czy wielki myśliciel królewiecki potrzebował takiej dziecinnej reklamy? Trudno doprawdy powiedzieć: nie. W ostatnich latach tak wiele pisano o Kancie, że uwaga czytającej publiczności a nawet cierpliwość badaczy zaczyna się wyczerpywać. Najlepszym tego dowodem jest właśnie okoliczność, że publikacya d-ra Reickego tak mało na siebie zwróciła uwagi. Ostatnie dzieło Kanta powstało na schyłku jego długiego żywota i świadczy o wielkiem już omdleniu genialnej niegdyś myśli. Najcenniejsze jego ustępy są tylko parafrazą albo wprost powtórzeniem pomysłów znanych nam z *Krytyki rozumu*, *Prolegomenów* i *Metafizycznych podstaw przyrodoznawstwa*. Teza natomiast, którą Kant stawia sobie tutaj po raz pierwszy (przejście od metafizyki do fizyki), przeprowadzona jest tak słabo, że nie wzbogaca niczem jego filozofii. Wątpię, czy po ostatecznem wydaniu rękopisu pośmiertnego będzie można zmienić w podręcznikach historyi filozofii ustęp o filozofii natury Kanta. Myśliciel królewiecki zamierzał dokonać zupełnej, „Kopernikowej“ reformy filozofii; po *Krytyce rozumu*, która zawiera naukę o metodzie, przyjść miało systematyczne roztoczenie zupełnego na świat poglądu. *Przejście do fizyki* nie odpowiada, jako systematyczny wykład jednej z ważnych części filozofii, nawet skromnym wymaganiom.

Atoli z innego względu posiada ono niemałe znaczenie. Właśnie bowiem te ustępy, które nie zawierają nic nowego, są bardzo cennym, bardzo pożądanym, autentycznym komentarzem do dawniejszych dzieł Kanta. Filozofia jego jest, niestety, w wielu szczegółach swoich niejasna, dwuznaczna i sprzeczna. Kto dzisiaj czyta *Krytykę rozumu* *) i nie pojmuje jej—zaiste, wstydzić się tego nie potrzebuje. Od lat przeszło dwudziestu kwitnie w Niemczech *nowokantyzm*, który jest po prostu filologią, albo, jak twierdzą jego przeciwnicy, aleksandrynizmem, a który dowodzi, że filozofia Kanta wymaga istotnie filologicznego rozbioru i komentarzy. Albert Lange, najcelniejszy przedstawiciel nowokantyzmu, sądził nawet, że „poświęcić trzeba Kantowi tyle sumiennej pracy, ile dotąd, z wszystkich myślicieli tylko Arystotelesowi poświęcono.“ Tyle? Byłoby to trochę za wiele. Na to nie ma czasu ani filozofia, ani szybkim krokiem postępująca naprzód ludzkość. Ale faktem jest, że cała filozofia niemiecka naszego wieku wzrosła na tle kantyzmu, że *Krytyka rozumu* wy-

*) Autor wyraża się ogólnie: *Krytyka rozumu*, dla ścisłości jednak nadmienimy, że Kant napisał właściwie dwie prace tego tytułu: *Krytykę rozumu czystego* i *Krytykę rozumu praktycznego*. *Red.*

---

ko!... To twój gniew słuszny, święty Floryanie!...

Szczególna rzecz! Co św. Floryan mógłby mieć wspólnego z tymi zawodami Łukasza? Posłuchać warto.

Przed laty, nieopodal od kościoła, stała statua gipsowa tego świętego, patrona całej okolicy. Był on dla ślusarza przedmiotem czci szczególnej. Z czasem deszcze letnie, słoty jesienne i mrozy zimowe w połączeniu z zębem czasu zgryzły figurę, a jedna burza marcowa zwaliła ją na ziemię, druzgocąc niemiłosiernie na kawałeczki... Szanowne jej szczątki znalazły konserwatora w pobożnym Łukaszu.

Ale przyszła mu raz myśl, którą za natchnienie wziął, żeby ze święconej kredy zrobić kit i pozalepiać nim szyby dla odpędzenia dyfterytu, który właśnie zanęcił się do Jelnik. Kredy takiej nie miał, lecz św. Floryan stłukł się przecież na kawałeczki. Odmówił tedy nowennę i użył tych szczątków. Otóż to musiało być przyczyną słusznej zemsty świętego na formach Łukasza...

Wiatr później gwizdał przez szczeliny szyb potłuczonych, a ślusarz na cmentarzu coś kopał, włożył w dół węzełek jakiś i zasypał go ziemią. Złożywszy ręce, podniósł w górę oczy i długo, długo coś szeptał.

Wyprawił pogrzeb kitowi.

Po tym akcie zdało mu się, jakoby widniej było w jego duszy. Święty Floryan powrócił mu swą łaskę przebłagany i siłą uroku legendowego gdzieś z po za światów dmuchał we mgły, kłębiące się w głowie ślusarza.

Trudno byłoby przekonać Łukasza, że patron nie zaofiarował mu swej pomocy.

— Boże mój niebieski! — mówił ze skruchą — czemu ja na to wprzód nie wpadłem!

Dobrze się stało, iż Łukasz w pośpiechu słabo ścisnął dwie połowy formy i zrobił tem niedostrzeżoną przez się szparę, która posłużyła parze za ujście i była powodem powodzenia. Idącego do proboszcza z miłą nowiną o rychłem przystąpieniu do odlewania dzwonu spotkał przed kramami żydowskimi jeden z chłopów i zawołał:

— A gdzie mój garnek, gdzie twoje dzwonki, coś nam obiecywał? Wszystko to brednie, ty chytry lisie! Bodaj twą matkę trzęsło i ojca!..

Ufny w poparcie św. Floryana ślusarz, huknął, aż się po całych Jelnikach rozległo:

— Głupiś! Idź do mojej chaty i obacz piastę odlaną dzisiaj! Język ci kołem stanie od dziwu!

Teraz już Łukasz rósł w oczach własnych i obcych. Nie jeden rzemieślnik jelnicki, zbliżając się ku kościołowi, mimowolnie zatapiał swój wzrok w dzwonnicę, jakby oczekując, że lada chwila wpadnie mu stamtąd w ucho dźwięk nowego dzwonu, o którego zaletach przyszłych tyle się nasłuchał od ślusarza.

Było to jednak złudzenie, bo na dzwonnicy dotąd kołysał się dzwon stary. Nowy, ślusarz odlewał w Juzepinie, w folwarku o cztery wiorsty od Jelnik, gdzie za wstawiennictwem proboszcza dano mu kuźnię. Wmurowano w niej miech porządny, za siedemdziesiąt rubli kupiony przez rządcę na jarmarku homelskim.

Dwóch zdunów słuchało uważnie ślusarza. Ekonom co chwila klął, nie uczciwszy uszu, bo musiał węgle sprowadzić ze smolarni i cegły dostarczyć na piec do odlewania. Jeszcze więcej może gniewało go to, że mu kazano wydostać Łukaszowi ze składu stare ruszty i inne graty surowcowe, przedmioty objęte wprawdzie inwentarzem, ale sporządzonym dawno i zbutwiałym do szczętu...

Ślusarz obojętnie tego słuchał, a nawet, uśmiechał się złośliwie... Robił formy na dzwon, a robił uważnie i powoli, bo cóżby proboszcz i rządca powiedzieli, gdyby tak się stało, jak z piastami? Obawa mu serce ścisnęła, ale przypomniawszy sobie św. Floryana, westchnął do niego jakoś kurczowo i raz po raz prędko... Niczego już potem się nie lękał!

Tegoż samego dnia, kiedy przystąpił do topienia, o uszy proboszcza obiła się niemiła wieść, jakoby Łukasz nie zdołał stopić kruszcu.

warła znaczny wpływ na pochód myśli współczesnej w Anglii, Francyi, we Włoszech a nawet u nas. Fichte, Schelling, Hegel, Schopenhauer (? *Red.*) i inni książęta spekulacyi nie rozumieli Kanta. Gdyby go byli zrozumieli, nie powstałyby owe często śmiałe, często dziwaczne, zwykle interesujące a zawsze bezpodstawne konstrukcye filozoficzne, któremi przez lat kilkadziesiąt tak się niemcy cieszyli, że dali sobie skromny przydomek narodu myślicieli. Co więcej, nawet dzisiejszy nowokantyzm nie zawsze mistrza pojmuje. Dokładny rozbiór *Krytyki rozumu* wykazał, że główne to dzieło Kanta jest zlepkiem rozlicznych pierwiastków filozoficznych, które zostają do siebie po części w rażącej sprzeczności. *Krytyka* zawiera składniki pozytywistyczne, sceptyczne, racyonalistyczne i empirystyczne; tylko do pewnej granicy można je ze sobą pogodzić — po za nią obala empiryzm założenia racyonalizmu, sceptycyzm założenia racyonalizmu i empiryzmu, pozytywizm założenia sceptyzmu, racyonalizmu i empiryzmu. Znaczna część nowokantystów nie chce przyznać tych sprzeczności, uważa je tylko za wynik niedostatecznej terminologii, dwuznaczność stylizacyi i wogóle tylko za sprzeczności formalne, które usunąć można bez naruszenia istotnej myśli *Krytyki rozumu*. Badacze ci, chcąc być kantystami konsekwentniejszymi od Kanta, oddalają nas od niego i w najlepszej wierze fałszują historyę. Odkrycie rękopisu pośmiertnego pomaga właśnie do wielu sprostowań. Sądzę bowiem, że niektóre jego części rozstrzygają stary spór co do znaczenia nauki Kanta o idealności przestrzeni.

Filozofię swoją nazywał on, jak wiadomo, transcendentalnym idealizmem. „Transcendentalny idealizm — słowa jego — jest nauką, wedle której znamy zjawiska tylko jako *wyobrażenia*, nie zaś jako *rzeczy same w sobie*; stosownie do tego czas i przestrzeń nie są realnemi własnościami przedmiotów, ale tylko formami naszej zmysłowości." Tem mniej realnemi mogą być inne własności, jak: światło, ciepło, dźwięk itd., które już dawniej uważano powszechnie za podmiotowe. Czem tedy różni się Kant od Berkeleya? Na jakiej podstawie potępia „dogmatyczny" idealizm, skoro sam uważa wiedzę naszą za objaw czysto podmiotowy? Podczas kiedy u Berkeleya wiedza wyczerpuje całą rzeczywistość, tak że rzeczy są tylko zjawiskami w podmiocie i niczem więcej, Kant przypuszcza po za wyobrażeniami cały świat rzeczy samych w sobie. O istocie ich nic nie wiemy, znamy tylko ich zjawiska. Ponieważ zaś świat jest zjawiskiem, wyobrażeniem w podmiocie, przeto prawa podmiotu są zarazem prawami świata. Kant wylicza je w *Krytyce rozumu*. Kategorye, czyli formy myślenia, czas i przestrzeń, czyli formy zmysłowości wyprzedzają doświadczenie, są apriorycznym składnikiem całej naszej wiedzy o świecie, bo tkwią w podmiocie, jako jego przyrodzona własność. Kant sądził, że przez odkrycie form tych stał się Kopernikiem filozofii, że rozstrzygnął raz na zawsze spór między racyonalizmem a empiryzmem, że stworzył nową formę poznania, na której oprzeć się musi „wszelka przyszła metafizyka." Przesadne te nadzieje nie mogły się spełnić, gdyż nauka transcendentalnego idealizmu o podmiotowości świata i przestrzeni jest chwiejna i dwuznaczna.

Już Schopenhauer spostrzegł, że w drugiem wydaniu *Krytyki rozumu* przyznaje Kant istnienie realnej przestrzeni i obala przez to zupełnie idealizm pierwszego. Znamy dzisiaj dokładnie przyczyny tego niezrozumiałego dla Schopenhauera zwrotu. Po pojawieniu się *Krytyki* zarzucił jeden z recenzentów, że transcendentalny idealizm nie jest nowym, że nie różni się wcale od dotychczasowego idealizmu. Bezzasadna ta uwaga tak gniewała Kanta, że we wszystkich późniejszych dziełach uwydatniał coraz bardziej realistyczną stronę swej filozofii, a w drugiem wydaniu *Krytyki* przyznał wyraźnie, że naszemu podmiotowemu wyobrażeniu przestrzeni odpowiada przestrzeń realna. Odtąd nie mógł naturalnie nikt utożsamiać jego filozofi z idealizmem Berkeleya, odtąd zarzucić by jej owszem trzeba, że nie różni się zgoła od zwyczajnego, naiwnego realizmu. Ażeby zatrzeć tę przykrą sprzeczność oświadcza Schopenhauer a za nim znaczna część historyków kantyzmu (np. Kuno Fischer), że nauka o przestrzeni w drugiem wydaniu *Krytyki* jest prostem odstępstwem od transcendentalnego idealizmu wydania pierwszego. W pierwszem jest Kant Kopernikiem filozofii, w drugiem obala istotę swojej własnej nauki i wraca na błędne stanowisko Ptolomeusza. Atoli nowsze badania „filozoficzne" wykazały, że Kant odstępstwa się tutaj bynajmniej nie dopuszcza, że transcendentalny idealizm bez przypuszczenia realnej przestrzeni nigdy obejść się nie może, chociaż z drugiej strony tak gorąco ją krytykuje. Pośmiertny rękopis potwierdza wyniki filologii najzupełniej. Po zaprzeczeniu realnej przestrzeni jest on wprost niezrozumiały. Pośmiertny rękopis dowodzi, że Kant przyjmował dwa rodzaje podmiotowości i że stąd wynika dwuznaczność nauki jego o podmiotowości przestrzeni. To, co dla przedmiotu „transcendentalnego" jest idealnem, może być dla podmiotu „empirycznego" realnem. Ponieważ jedną z głównych podstaw filozofii Kanta jest odróżnienie podmiotu transcendentalnego od empirycznego, przeto sprzeczność nauki o przestrzeni jest w pierwszem wydaniu *Krytyki* nie mniejszą, jak w poprzednich.

Transcendentalny idealizm uważa świat wyobrażeń za zjawisko, wynikające z oddziaływania przedmiotu na podmiot. Przez podmiot i przedmiot należy tutaj rozumieć rzeczy same w sobie, o których właściwie nic nie wiemy. Świat zjawisk jest tylko wyobrażeniem. Ale dla kogo? Dla podmiotu, jako rzeczy samej w sobie, czyli dla podmiotu transcendentalnego. My zaś znamy tylko drugi, zjawiskowy, czyli empiryczny, dla którego świat zewnętrzny jest nietylko wyobrażeniem, ale i rzeczą istniejącą poza niem. Empiryczny podmioti świat zewnętrzny są zjawiskami zupełnie spółrzędnemi, zupełnie od siebie niezależnemi. Nie nasza to empiryczna umysłowość, ale podmiot transcendentalny wytwarza „formy" czasu i przestrzeni. Niejeden czytelnik *Krytyki* zadawał sobie pytanie: czy po zniknięciu wszystkich istot myślących tj. podmiotowych istniałby i nadal świat przestrzenny, który jest przecież tylko wyobrażeniem? Istniałby beznajmniejszej zmiany dla nieznanego nam podmiotu transcendentalnego. Albowiem my, podmioty empiryczne, do istnienia przestrzeni niczem się nie przyczyniamy. Jest ona płodem podmiotu, jako rzeczy samej w sobie.

Któż nie widzi teraz sprzeczności w nauce Kanta o przestrzeni? Dla podmiotu empirycznego, dla nas jest przestrzeń nietylko idealną, podmiotową, ale i realną, przedmiotową; dla podmiotu transcendentalnego idealną, ale tylko o tyle, o ile Kant przekracza swoje własne założenia o niepoznawalności rzeczy samej w sobie. O rzeczach samych w sobie nic nie wiemy, nie możemy tedy wiedzieć, czem dla nich jest przestrzeń.

Kto tę wieść puścił, nie wiadomo, dość że biła się ona o uszy i języki ludzkie w Jelnikach, jak nietoperz o szyby, oddzielające światło wnętrza od mroków zewnętrznych.

Już dobrze było ciemno w Jelnikach, gdy w stronie Juzepina zabłysła łuna. Przestraszeni mieszkańcy gapili się, zgadując, czy to w Juzepinie pożar, czy we wsi obok leżącej, czy też w innej jeszcze, dalej za folwarkiem. Rezolutniejsi popędzili na ratunek.

Smutna była przyczyna pożaru! Smutniejsza dla ślusarza...

Mówiono w Jelnikach, że surowca nie stopił, a Łukasz nietylko go stopił, lecz i do formy wlał. Do samego zmierzchu przewlekła się robota. Dwóch tęgich chłopów miechem robiło, aż polał się kruszec do tygla.

Komin z pieca był blaszany i po przez dach tarcicowy przedzierał się na świat. Węgli dużo spalić musiano, a nie napróżno parobcy folwarczni, idąc spać do koni w stajni, podziwiali czerwoność komina... Jakoż wkrótce zbudziło ich niezwykłe światło, cisnące się w szczeliny ścian, oraz trzask jakiś i rżenie koni.

Wybiegli na zewnątrz i ujrzeli kuźnię w zawoju ognistym.

Płomienie szumiały i syczały pod czarnem sklepieniem niebios, a jasność rozlała się na domek ekonoma i zabudowania gospodarskie.

Poruszyło się, co żyło w folwarku. Psy zawyły, koguty zapiały, ozwała się rykiem, a owczarnia beczeniem. Rozległy się klątwy ekonoma...

Łukasz twardo spał, a kiedy się ocknął, wpadł na oślep do środka kuźni. Wynieść chciał sam formę, którą trzech ludzi udźwignąćby nie mogło.

Daremnie! Dach się już zapadł i dzieło jego razem z siedmdziesięciorublowym miechem dziedzica pogrzebał pod sobą!...

Biedny marzycielu! Niech ci połyskuje teraz oko od blasków dopalającej się stajni i obory—własności pańskiej!... Szczęśliwy będziesz, jeśli ci nie podrą kwitów, świadczących o sprzedaży twojej pracy dla dziedzica w Drzmlinie!... Proboszcza już nie przebłagasz! Dzwon przyjedzie z odlewni Szulca.

* *
*

Nigdy już nie wypogodniała dusza ślusarza, od czasu jak rozpalony komin wzniecił pożar i pochłonął mu całą robotę. Pozostał zgnębiony.

W kilkanaście lat później można było spotykać go, ale rozmowa z nim wymagała wielkiego wysiłku płuc i krtani. Na źrenicach jego oczu osiadły plamki barwy sinawo-białawej, skutkiem których wszystko mu się zdawało być pogrążonem we mgle. Mówiono, że to katarakta. I z twarzy i z odzieży nędza zęby szczerzyła. Gdy kolano lub łokieć zginał, to czuł niby ukłucia setki szpilek, aż mrowie jakieś bolesne szło mu „po kościach."

Dawniej nie zbywało mu na robocie. Teraz choćby i mógł pracować, gdyby mu osłabione ręce pozwoliły, nie miałby jej... Najwięcej zajęcia miewał u dziedzica, który zburzył pałac dawny a nowy wybudował.

— Cóż się stało z twojemi piastami, z dzwonem, mój Łukaszu — dopytywał go czasem młodzieniec o demokratycznym wyglądzie, gdy ślusarz przychodził do leśniczowstwa złożyć swoje życzenia noworoczne, za co dostawał herbaty ciepłej szklankę lub czarkę wódki.

— A, panie drogi, nie sądzono, nie sądzono!... Teraz wiem dobrze, czego nie dostawało moim formom. Wentyle potrzebne były i miech dobry, z siedemdziesiąt rubli jakich kosztujący... Skąd to wziąść?..

Wtedy młodzieniec o demokratycznym wyglądzie, z piętnem pracy umysłowej na twarzy, pocieszał ślusarza obrazem przyszłego szczęścia na ziemi, kiedy stare przysłowie: „szewcze pilnuj kopyta" zupełnie zaginie w pamięci przyszłych pokoleń...

Łukasz nadstawił uszu i wlepił weń swe zaszłe mgłą oczy i mruczał coś pod nosem, może: „Rosa oczy wyjje, rosa oczy wyjje."

Z. Komar.

A jeśli rzeczy same w sobie nie są istotnie duchowemi, ale materyalnemi, czy może wówczas być przestrzeń ich wyobrażeniem? Zauważono nieraz, że Kant daleko więcej prawi o rzeczach samych w sobie, niż mu objawić mógł jego transcendentalny idealizm. I tutaj zapytać trzeba: skąd wie o tem, że między rzeczami samemi w sobie znajdują się „podmioty“ tj. istoty myślące?

A teraz do rękopisu pośmiertnego. *Krytyka rozumu* ustaliła formy, które wynikają z współdziałania podmiotu i przedmiotu jako rzeczy samych w sobie, które zatem są apriorycznym elementem wszelkiej wiedzy. Skąd te formy biorą się w podmiocie empirycznym, zjawiskowym, skoro most między rzeczą samą w sobie a zjawiskami został zerwany — nie wiadomo. *Krytyka* nas o tem nie poucza i nie może pouczyć. W *Przejściu do fizyki* zamierza Kant oznaczyć formy, które wynikają z współdziałania naszej umysłowości empirycznej i zewnętrznego, realnego świata tj. podmiotu i przedmiotu jako zjawisk. Formy te byłyby koniecznemi i apriorycznemi prawami fizyki, tak jak czas, przestrzeń i kategorye *Krytyki* są prawami całej wiedzy. Tak jak *Krytyka* zakreśla granice wiedzy przez odkrycie form, czyli warunków jej możliwości, tak *Przejście do fizyki* ustalić zamierza granice fizyki przez odkrycie apriorycznych warunków jej możliwości. Na ósmym arkuszu rękopisu (Reicke XX 564) znajduje się ustęp, który zrozumiale wypowiada właściwą myśl Kanta: „Przejście od apriorycznego poznania przyrody (Kant mówi tutaj o swoich *Metafizycznych początkach przyrodoznawstwa*) do fizyki zawiera zasady, wedle których należy rozmaitość praw przyrody rozumem z góry oznaczyć (bestimmen), ażeby umożliwić doświadczenie. Są one apriorycznemi jako konieczne; bez nich nie byłoby możliwem doświadczenie żadnego zjawiska.“ Przyrodnik musiałby oczywiście jak najenergiczniej zaprotestować przeciw takiemu „oznaczaniu praw przyrody z góry“ — racyonalizm Kanta obejść się bez nich nie może. Tam, gdzie niema „apriorycznych praw,“ nie ma dla racyonalizmu nauki, ale bezładna mieszanina zjawisk albo faktów. Zarzut ten czynił kiedyś boski Platon Protagorasowi, w dwa tysiące lat później powtórzył go Kant przeciw Humowi—i ufundował nową filozofię.

W *Przejściu do fizyki* trudno dopatrzeć się tych apriorycznych praw fizyki; znajdujemy tam bezładną po części mieszaninę okruchów fizyki z ułamkami *Krytyki rozumu*. Czekajmy zresztą na dokończenie publikacyi dr. Reickego. W każdym razie wątpię, czy i wówczas przedstawi się nam filozofia natury Kanta w zmienionej, bogatszej postaci. Rękopis pośmiertny jest tylko brulionem, zawiera raczej nieopracowany, urywkowy materyał, aniżeli systematyczny wykład filozoficznej doktryny. Zasadnicza jednak myśl i plan Kanta jasne są jak słońce. Wychodzi on tutaj z różnicy między podmiotem transcendentalnym a empirycznym i przyznaje, że dla podmiotu empirycznego jest świat zewnętrzny realnym. Wobec tego tłomaczy się dwuznaczność nauki o idealności przestrzeni najzupełniej. Przestrzeń jest idealną *i* realną, czyli, jak sam Kant powiada, stanowisko *Krytyki rozumu* jest transcendentalnym idealizmem *i* empirycznym realizmem.

Zobaczymy wkrótce, jakie wrażenie wywrze *Przejście do fizyki* na tych zwolenników kantyzmu, którzy transcendentalny idealizm uważają za szczyt filozofii i wolną od sprzeczności naukę. Znajdą się między nimi zapewne i tacy, którzy okrzykną ostatnie dzieło Kanta za nowe odstępstwo. Tymczasem odstępstwa tutaj niema, jak niema go w drugiem wydaniu *Krytyki*. Odstępują owszem od historycznego Kanta i od „obowiązków rzetelnego historycyzmu ci, co pomijają cały szereg dzieł filozofa a w jedno z nich wmawiają idealizm taki, jakiego on nigdy nie wyznawał.

Ludwik Przysiecki.

LITERATURA UKRAIŃSKA.

IV.

Dramat i poezya.

Ukraińscy pisarze dawniej już probowali sił swoich w dramacie historycznym, z których wystąpił także Kostomarow (*Jeremij Hałka*); ale utwory ich oddychały takim duchem ideałów hajdamackich, że po za tą parą nie było widać dramatu; artyzm, piękno—słowem sztuka ginęła w tendencyi. Indywidualność autora nietylko niemile pochłaniała uwagę czytelnika, ale i akcyi osób czynnych nadawała wstrętne dla uczuć ludzkich piętno. Szkoła z takim kierunkiem nie mogła nic wydać i nie wydała, bo gmachy jej wznosiły się w powietrzu, pomijając najżywotniejsze tętna życia narodowego.

Nowsi pisarze prawdopodobnie zrozumieli lub odczuli, że budować trzeba z tego materyału, jaki jest, że historya nie powinna służyć za roznosicielkę krwawych nienawiści, ale za rozumną nauczycielkę. Dramaty tedy szkoły Kostomarowskiej straciły lub tracą codziennie charakter wywoływania upiorów—nieraz dla osobistych korzyści. Chwila obecna, ta sztuczna niekiedy atmosfera, w której lud żyć musi, przedstawiają takie bogactwo materyału dramatycznego, że nęcą ku sobie każdego myślącego człowieka i pisarza. Na tej drodze dali się poznać M. Kropiwnicki w dramatach: *Daj serciu wolu, zawede w newolu*, *Hłytaj abož Pawuk* i M. Staryckij w dramacie *Ne sudyłoś*. Obaj ci pisarze, z których jeden, mianowicie Kropiwnicki, jest równocześnie aktorem, stworzyli dramat społeczno-obyczajowy. Jeżeliby obok nich postawić jeszcze I. Lewickiego (Neczuję) z utworem *Na kožemiakach*, malującym życie mieszczańskie kijowianów— byłoby to na dziś wszystko, co w tej gałęzi posiada najlepszego literatura ukraińska.

Treść *Daj serciu wolu, zawede w newolu* polega na tem, że ubogi parobek Semen Melniczenko pokochał również jak on ubogą dziewczynę Odarkę Stepanenkówne, do której zalecał się syn „starszyny“—wójta gminy—Mykita Halczuk. Ufny w siłę i znaczenie ojca, Mykita prześladował swoją miłością Odarkę, chcąc się z nią ożenić. Ona opierała się całą siłą i nienawidziła Mykitę za jego wyniosłość i pychę. W tym właśnie kontraście spoczywa cała fabuła dramatyczna. Semen już był bliski poślubienia Odarki, kiedy tymczasem wyszła nowa ustawa, skutkiem której został powołany do wojska. Przyjaciel jego Iwan Nepokrytyj, odgrywający w dramacie pierwszorzędną rolę, stawił się za przyjaciela i tym sposobem umożebnił połączenie się zakochanej pary. Mykita pod wpływem zazdrości chciał zamordować Semena, ale pochwycony przez Iwana i innych parobków, został oddany pod sąd i skazany na więzienie. Powrócił potem — podwakroć złamany: zazdrością szczęścia Semenowi i utratą nietylko rodziców, ale i całkowitego mienia. Pod wpływem nieszczęścia, jakie przygniotło Mykita, Odarka i Semen przebaczają mu i dają przytułek w swojej chacie; ale on, trawiony zazdrością i bolem, umiera.

Hłytaj abož Pawuk, dramat w 4 aktach, osnuty równie jak i pierwszy na tle życia i stosunków wiejskich. Łotr, hypokryta i zdzierca—„Pawuk“—Josyp Stepanowicz Byczok zwrócił pożądliwe oko na piękną wiejską dziewczynę Ołenę, córkę Stiochi, a żnę włościanina Andrija Kohuta, którego wprzód jak pająk oplątał w swoje sieci. Osnuwszy go, zażądał zwrotu pieniędzy; Andrij poszedł za zarobek, obiecał pisać do Ołeny—ale nie pisze... Młoda kobieta, zrozpaczona i zbolała, oczekuje wieści od ukochanego męża — długo i daremnie. Śród takiego oczekiwania dochodzi do niej wiadomość, że jest list od Andrija u Byczka. Biegnie do pisarza, ażeby jej pismo od ukochanego przeczytał. Ale tu dowiaduje się, że Andrij zdradził ją, że inną polubił, piękniejszą, bogatszą.... Rozpacz jej nie ma granic. Tymczasem Byczok pracował oddawna przez Stiochę, ażeby mu oddała Ołenę jako żonę nieślubną. Walka młodej kobiety między ubóstwem, które je popycha we wstrętne objęcia pająka a miłością dla męża, żal za życiem złamanem i chęć zemsty nad niewiernym, wywołują bardzo dramatyczne sytuacye i sceny. Walka ta, tocząca się w zbolałej duszy z odcieniem jakiegoś obłąkania, kończy się upadkiem moralnym Ołeny... Byczok zabiera ją do swego domu. Ale w duszy Ołeny zakrada się znowu wątpliwość: czyż to można, ażeby Andrij ją zdradził i inną pokochał i śród takich chwil nowej walki słyszy, że Andrij wrócił... Dowiedział się o wszystkiem. Gniew zawrzał w jego duszy, chciał zabić niewierną — ale ona niewinna: Byczok list od Andrija sfałszował. Poszedł tedy do niego, rzucił mu w twarz całą gorycz swego serca; Ołena z drugiej izby słuchała rozmowę i bez czucia upadła. Andrij myśli, że udaje, chwyta nóż i w gniewie zabija nikczemnika, chce zabić Ołenę—ale ona umarła już... Schyla się do niej i żegna słowami boleści: „Horłyczko moja! serce moje! Na kohož ty mene pokydajesz na cim chołodnym, zradływym switi?..“

Dramat *Newolnyk* nazwał autor „obrazami dramatycznemi w pięciu odsłonach;“ treść wziął z poematu Szewczenki tegoż nazwiska; jako o rzeczy przerobionej i słabej mówić o niej nie będziemy a również o wodewilu *Pomyryłyś*, który nie należy do sfery zakreślonej niniejszym przeglądem.

Oba dramaty są bardzo różnej wartości. Pierwszy—*Daj serciu wolu, zawede w newolu* pod wielu względami słaby, szczególnie brak mu artystycznej kompozycyi, ruch w nim powolny, akcya nierówna, nienaturalna, ciągle przerywana śpiewami lub monologami. Charakterystyka osób, z wyjątkiem Iwana, wogóle słaba. Odarka nie nosi na sobie bynajmniej cech zdrowej moralnie wiejskiej dziewczyny, ale raczej wygląda na sentymentalną panienkę. Czasem jest wprost nienaturalną i płacze nie wiadomo czego. Zupełnie taką samą liryczną ckliwością odznacza się i kochanek Odarki — Semen.

Najlepiej udał się Iwan Nepokrytyj — typ hulaszczego i niebacznego na jutro parobka, ale w gruncie uczciwego i prawego, przyjaciela szczerego aż do poświęcenia się. Ale postać ta zajmuje nadto wiele miejsca w dramacie, po za nią prawie giną inne; hulaszcze wybuchy, ciągła wesołość, śpiew zacierają nawet dramatyczność akcyi, która ciągle przerywa się i nawiązuje.

W czytaniu dramat ten nieszczególnie wypada, ale na scenie porywa. P. Kropiwnicki zna wybornie wszystkie słabe strony, zna życie ludu i tę sferę, którą maluje, dla tego też sceniczne efekty wyzyskuje zawsze najlepiej. Widz i słuchacz zdaje sobie sprawę z wrażeń, a o krytykę nie pyta wcale.

Pod względem artystycznej budowy drugi dramat p. Kropiwnickiego *Hłytaj abož Pawuk* o wiele jest lepszy. Akcya żywsza, chociaż spotkać można sceny prawie niepowiązane z sobą. Nić przewodnia, której nie można się było dopatrzeć w utworze poprzednim, tu snuje się ciągle i drga siłą prawdziwego życia. Analiza psychologiczna postaci jest staranniejszą, głębszą, niż w poprzednim. Za tło i tu służy wieś, ale dramatyczność występuje w swojej szacie co-

dziennej, rzeczywistej, bez sztucznego naciągania i gdyby nie wada w p. Kropiwnickim gonienia za scenicznymi efektami i słabość do śpiewu, który ciągle utrzymuje akcyę, pracę tę możnaby zaliczyć do najlepszych. Widać, że autor czuje ten niedostatek — częste wprowadzanie na scenę śpiewu—bo w *Hlytaj aboż Pawuk* występuje już ona nie tak rażąco. Istotną i wielką wartość dramatu stanowi bez zaprzeczenia nadzwyczaj żywa, pełna prawdy, znajomości przedstawianej sfery i żywa charakterystyka osób. Gdyby nie sceny, które nie są dobrze związane z głównym wątkiem, a których jest bardzo niewiele, powiedziałbym, że w tym dramacie nie ma żadnej lużnej postaci, a Josyp Stepanowicz Byczok narysowany świetnie. Autor rozwija przed nami krwawy obraz wiejskiego życia, walkę i zwycięstwo codzienne kapitału, zmuszającego pracować na siebie, oświecając ten widok oryginalnem światłem.

Byczok — to doskonały obłudnik, który wdziewa na siebie gołębie pióra, który ofiarę swą rozszarpuje lub wpija się w nią szponami hyeny, ale z uśmiechem, łagodnie. W sercu swojem nosi piekło, a na ustach słowa miłości i chrześciańskiej pokory. Znają go i boją się wszyscy, ale wszyscy — to ubogi lud siermiężny, który codzień potrzebuje pieniędzy i który mu się zaprzedaje. Byczok każdego oszuka, bo „u tij hołowi rozumu, mow dwa kłało, a tretij toptaw.“ On zawsze tam jest, gdzie widzi dla siebie jakiś zysk, ale z kogo „korysti, jak z byka mołcka“ tam Josyp Stepanowicz nie podsuwa się.

Rzuciwszy pożądliwem okiem na Ołenę, zastawił sidła na jej męża. Andrij kocha żonę całą duszą i byłby najszczęśliwszym mężem pod słońcem, gdyby nie dług Byczkowi. Dumny i szlachetny, napastowany przez niego, chce raz skończyć z nim wszelkie rachunki, woli pójść „na służbę“ na czas jakiś, ażeby potem czuć się wolnym od pazurów. Josyp Stepanowicz zna ludzkie serce. On w Andriju umyślnie wywołuje oburzenie, ażeby go prędzej oddalić i zamiar udaje mu się.

Ołena—to typ niezmiernie sympatyczny i piękny; łagodna kobieta i kochająca żona odczuwa całą boleść swego położenia, widzi zależność męża od Byczka, widzi codzienne ubóstwo, widzi jak matka — Stiocha—udaje się często do pająka o pomoc — ale nie ma siły zaradzić temu; oczekuje tylko powrotu Andrija, który kres położy tej upokarzającej zależności. Byczok jak wąż przysuwa się do matki Stiochi i kusi ją.

Sceny między matką Ołeny a Byczkiem należą do najpiękniejszych. Rozpacz biednej kobiety, która traci ostatnią nadzieję ratunku, ostatnią możność oparcia się po części przedstawiona znakomicie.

Biedna kobieta upadła... ale dusza jej nie mogła pogodzić się z hańbą, myśl buntownicza powracała ciągle do utraconego obrazu szczęścia.

Drugorzędne osoby dramatu, szczególnie Martyn Chandola żywcem przeniesiony na papier, pełen humoru, werwy i prawdy.

(D. n.).

F. Rawita.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rocznik pedagogiczny. Przegląd postępów w dziedzinie wychowania i nauczania, wydawany staraniem i pod redakcyą S. Dikssteina, przy współudziale wielu pedagogów. T. II. R. 1882—1883. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego.

Miły to dla sprawozdawcy obowiązek, gdy ma przed sobą pracę, której z nie nienaczącemi zastrzeżeniami, oddać może zupełne uznanie, w której znajduje dowód niezwykłej energii i wytrwałości jednego człowieka i sumiennego a pożytecznego współdziałania wielu pracowników.

Do takich prac należy w drugim już tomie ukazujący się *Rocznik pedagogiczny*. Wydawnictwo to ma zadanie głównie sprawozdawcze i informacyjne, to też przeważną część tomu wypełnia obraz ruchu pedagogicznego zarówno w zakresie wydawniczym jak szkolnym. Przyznać trzeba, iż w tym kierunku redaktor *Rocznika* zrobił wszystko, co w stosunkach naszych możliwem było, aby obraz ten uczynić jaknajbardziej zupełnym i dokładnym. Prawdziwie imponująco przedstawia się dział krytyki, w którym znajdujemy blisko 150 ocen najnowszych książek i czasopism, będących w związku z wychowaniem. Złożyły się nań wytrawne pióra specyalistów; w dziale literatury i języka — Chmielowski, Mieczyński, Nowicki, w dziale historyi — Korzon, Smoleński, geografii — Szumowski, pedagogiki ogólnej — Dygasiński, Wernic itd. Część ta znajduje uzupełnienie w zamieszczonej na końcu bibliografii: polskiej, rosyjskiej, czeskiej, niemieckiej, francuskiej, włoskiej i angielskiej za r. 1882—3. Z zakresu szkolnictwa *Rocznik* obejmuje kilkanaście sprawozdań różnych szkół rządowych i prywatnych w Królestwie, Galicyi i Poznańskiem, obszerną statystykę szkolną Królestwa polskiego, z wykazaniem liczby zakładów, uczących się, personelu nauczycielskiego i jego uposażenia. Sprawami szkolnictwa galicyjskiego zajmują się dwa artykuły: przegląd różnych prac w sprawie reformy średnich szkół w Galicyi i o działalności Towarzystwa pedagogicznego. Na czele tomu znajdujemy dwie rozprawy teoretyczne. Pierwsza p. n. „Geneza Duszy“ jest tłomaczeniem trzech rozdziałów Preyera: *Die Seele des Kindes*, poprzedzonem wstępem ogólnym p. Dygasińskiego. Preyer na podstawie własnych postrzeżeń przedstawia rozwój w dziecku uczuć, woli i rozumu oraz wyświetla naturę tych czynności; we wstępie, który ma na celu podać wiadomości z fizyologii mózgu, przydałoby się nieco więcej jasności i skupienia na obranym przedmiocie. W drugiej rozprawie zatytułowanej „Dwa punkty w wychowaniu“ p. H. Wernic podnosi potrzebę kształcenia samodzielności i panowania nad sobą. Ważność tych celów jest niewątpliwą; co do drugiego jednak, to środki, jakie podaje autor, nie wydają nam się dostatecznymi. Panowanie nad sobą sprowadza się do tego, ażeby niższe doraźne popędy wola hamowała zapomocą wyższych. Otóż p. W. zaleca tutaj pewne stopniowe ćwiczenia: nauczyciel, mający wpływ moralny na uczniów, zawiąże wraz z nimi rodzaj towarzystwa wstrzemięźliwości, członkowie jego zobowiążą się w pewien dzień tygodnia odmawiać sobie jakiejś rzeczy, a więc uczniowie np. używać będą do herbaty o jeden kawałek cukru mniej, nauczyciel — wypali jedno mniej cygaro. Ale ażeby wyobrażenie pewne mogło być zahamowanem w swem dążeniu do ruchu, musi mu przeciwstawić się jakieś inne silniejsze. Tutaj tem wyobrażeniem przeciwważnem będzie pojęcie cnoty i zasługi — pojęcie abstrakcyjne, dla dziecka niezrozumiałe, a zatem pozbawione treści i siły oporu, gdy tymczasem wyobrażenie niższe dążące do ruchu (gorzka herbata) jest realnem, żywem i silnem. Ażeby takie wyobrażenie zahamować, musiałoby powstać wyobrażenie np. doświadczonego bólu, cierpienia wskutek zjedzenia słodyczy itp.

D.

L. Tatomir **Jan Kochanowski**, opowiadanie z XVI wieku z wizerunkiem Kochanowskiego. Lwów, nakładem Seyfartha i Czajkowskiego. 1884, str. 168, 8-o min.

Książka niniejsza nie ma żadnej wartości naukowej. Przeznaczona dla szerszej publiczności, powtarza tylko rzeczy znane i przystępne. Lecz jako dziełko popularne posiada wiele zalet formy. Pióro Tatomira jest żywe i ciepłe, a układ przejrzysty. Ale ta szata nie może pokryć organicznych wad autora, należącego do starej szkoły „literatów.“ Chcąc „na podstawie nowszych badań jak również szczegółów zestawionych wprost z pism poety“ odmalować jego życie i działanie, używa on przedewszystkiem zbyt różowych i błyszczących barw do swego obrazu. Wiek szesnasty, którego charakterystyka składa się z *luźnie* nagromadzonych a najrozmaitszych czynników, lśni tu cały od złota; skazy i plamy jego rozpływają się w strugach promiennego światła i tęczowych kolorów. Autor powiada nawet otwarcie, że *nie chce widzieć* cieni tego jasnego obrazu a opiera się między innemi na takich powagach *kościelnych*, jak papież Eneasz Sylwius („pod niebiosa mi wynosić naród polski“) nie umiejąc rozróżnić prawdy od frazesów klasycznej retoryki.

Jak ten cały wiek „złoty,“ tak i postać *wieszcza* z Czarnolasu jest aż do sentymentalizmu zidealizowaną. Kochanowski p. Tatomira, to niedościgniony wzór wszystkich cnót domowych i publicznych, największy poeta, „który stworzył dzieła tak skończenie klasyczne pod względem formy i ducha, *jakich nikt po nim nie napisał.*“ Wszystko, co się wiąże z osobą i imieniem poety, jest i wielkie i piękne, i zacne i mądre. Kochanowski urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. „W dostatku i swobodzie“ płyną mu pacholęce lata pośród „łanów falujących.“ Zagranicą „używa życia bez troski o jutro,“ upaja się marzeniami „topiąc myśli *tylko* w krainie ideałów.“ Właściwie „nie wie, czem się ma więcej zachwycać: czy pogodnem niebem Italii, czy zabytkami starożytnej Romy, czy palącemi spojrzeniami czarnych oczu dziewic włoskich...“ Po bachanaliach italskich, które nie podkopują naturalnie moralności wieszcza, nastają roskosze *prawdziwej* miłości w Paryżu. Przebywa tu wprawdzie jakaś „próbę ogniową,“ ale wychodzi z niej „mężem,“ którego „wzburzoną pierś koi poważny spokój.“ Potom w gwarnej stolicy „śród wesołych biesiad z miłymi towarzyszami“ upływa *błogo* cały szereg lat. Wrodzone i nabyte cnoty „jednają mu coraz liczniejsze grono przyjaciół.“ „*Wszyscy* współcześni pisarze i uczeni katoliccy i *heretycy* szukają jego towarzystwa i przyjaźni.“ A kiedy przyjdziesz do obrazu „błogosławionego życia“ poety w zaciszu wiejskiem, to cię uderzy jasność anielskich sfer. Jest to sielanki piękny, najpiękniejszy wzór, skąpany w harmonijnych tonach niebiańskiej melodyi, osnuty *złotą przędzą* najwyższego ideału, jaki sobie wytworzył p. Tatomir o „roskosznem“ życiu ziemiańskiem. Od przesiedlenia się z swą lirą pod lipę czarnoleską odbywa Kochanowski swoją *„wędrówkę* ziemską spokojnie, poczciwie, bez zarzutu ze strony świata i bez wyrzutów własnego sumienia, szczęśliwy w swoim *raju domowym.*“ „*Najpogodniejsze* słońce przyświeca jego życiu, które uśmiecha się do niego *wszelkiemi* powabami.“ Był on „pieszczochem fortuny.“ „Jeżeli przymieszała się czasem jakaś kropla goryczy do czary jego życia, to jakby tylko na to, aby podnieść jej słodycz.“ Umarł, jak żył szczęśliwy i błogosławiony: „umarł u szczytu sławy swojej, spełniając obowiązek rodzinny i obywatelski — dusza jego uleciała do ojców z pieśnią zwycięską. Śmiercią tą—godną zaiste tak zacnego i pięknego żywota—dopełniła Opatrzność miary błogosławieństwa.“ Jak widzicie, brakuje tylko—kanonizacyi, aby imię wieszcza z Czarnolasu zajaśniało między świętymi na niebie.

Idealny ten wizerunek Kochanowskiego wytworzył sobie p. Tatomir na podstawie dzieła trochę sentymentalnej Hoffmanowej, wiele jasnych barw zaczerpnął z tradycyi literackiej, tej niebezpiecznej zwodzicielki, ale najpiękniejszej, iście „złotej przędzy“ wysnuła *twórcza* fantazya samego autora, karmiona poezyą klasyka, przepisywaną

na wiarę, bez żadnej krytyki. Ztego to ciągle bijącego źródła płyną zalety formy, ale i wady treści jego „opowiadania.“ Stąd pochodzi, że wyidealizowany portret twórcy *Trenów*, niezdejmowany z natury, ma wiele rysów fałszywych.

Oto jak np. wyobraża sobie p. Tatomir genezę prześlicznego wiersza: „Czego chcesz od nas Panie...“: „W ciszy wewnętrznego spokoju ozwała się w zbolałem sercu poety pomiędzy cudzymi rzewna tęsknota za ziemią rodzinną, ozwały się wspomnienia zlat dziecinnych, przypomniał mu się pacierz“ itd.—wszystko z fantazyi zachwycone, podobnie jak domek poety, w którym „błogosławieństwo i szczęście zakwitły, w którym zamieszkała skromność, miłość, wzniosła moralność, niezachwiana nadzieja i wiara,“ słowem wszystkie cnoty. Najczynniejszą jest bujna wyobraźnia autora w stwarzaniu niewieścich *ideałów* Urszuli, zacnej Doroty itd. Malując różnego rodzaju miłości dla tych ziemskich i nadziemskich istot wie p. T. dokładnie, jak się Kochanowski przymilał do kochanek, jak się z niemi pieścił, i jaki te pieszczoty na niego wpływ wywierały. Wnioskując wprost z poezyi o życiu, dochodzi do wniosku, że Kochanowski „odrywał myśli co chwila dla pięknych oczu Felidy, Neery, Koryny, Licyi lub Galli.“ Miał więc we Włoszech aż pięć kochanek.

P. Tatomir mówi dość obszernie o pismach Kochanowskiego, przedstawia go nawet na tle współczesnej epoki, mimo to nie występuje tu poeta w charakterystycznem świetle. P. T. zaszczytnie u nas znany z opowiadań i podręczników *historycznych*, nie ma talentu ani poczucia *literacko-estetycznego*, aby mógł zanalizować samoistnie rodzaj twórczości klasycznego wieszcza. W braku pomocniczych dzieł w tym kierunku wypadło więc ograniczyć się do streszczenia albo do podania wyjątków z pism, co, jak wiadomo, już dziś nie wystarcza. Wierny zasadzie starej szkoły „literatów,“ która uważa wszystko za dobre, piękne i mądre, co jest dziełem „wieszcza,“ chwali mniej więcej wszystkie pisma Kochanowskiego. Wiem dobrze, że jaskrawe uwydatnianie ujemnych stron poety w *popularnem* dziełku jest złym środkiem zachęcania niedojrzałej publiczności do poznania utworów, ale z drugiej strony podnosić lichoty jest szkodliwą, a w tym wypadku niepotrzebną rzeczą. Pocóż twórcy *Trenów* takie kadzidła: „*Odprawa posłów* jest—brylantem literatury naszej, dyalogu Antenora z Parysem nie wyparłby się Sofokles a do jego Kassandry przyznałby się Eschilos.“ Przypominają mi się mimowoli dawno minione czasy, kiedy to każdy poeta był polskim Sofoklesem, drugim Homerem.

Autor zna te kilka książek o Kochanowskim, które posiadamy, wyzyskał je nawet do swego zaokrąglonego opowiadania, nie ustrzegł się jednak kilku pomyłek. Z monografii Prowego mógł się dowiedzieć; że Kopernik nie pisał żadnych wierszy, z bibliografii Estreichera, że „Suzanny“ wyszło aż dwa odbicia osobno a z rozprawy Löwenfelda, że autor *Trenów* nie miał ani odrobiny zmysłu politycznego. *Z spokojnem i łagodnem usposobieniem* Jana z Czarnolasu nie zgadza się ta rozpacz po Urszuli: „Serce biednego ojca — powiada autor — przeszyła *po raz pierwszy w życiu* (?) sroga prawdziwie boleść, ból, który szarpał mu serce, spalił mózg i wichrzył myślami.“ Wychodząc z tego punktu widzenia ocenia fałszywie piękność i genezę *Trenów*, „Wypłynęły one odrazu—powiada—wrzącym strumieniem jak lawa z krateru, bez powziętego z góry zamiaru, bez obmyślanego naprzód planu, bez żadnej sztuki!“ *H.*

Byczkowski Paweł **Sposób nauczenia się po czesku** w 18 lekcyach. Warszawa, nakł. Lesmana i Świszczowskiego, 1884.

Brak podręcznika popularnego, z którego by niespecyalista mógł nauczyć się początków języka czeskiego, mimo istniejącej już gramatyki Władywoja Tomka, tłomaczonej przed laty przez Krzywickiego, stał się powodem, że p. Byczkowski postanowił opracować książkę, odpowiadającą pod wszelkim względem potrzebom i wymaganiom publiczności, która nie ma czasu na śledzenie postępów nowszej lingwistyki. W tym celu autor, chcąc być treściwym, musiał unikać zasadniczego wyłożenia głosowni z uwzględnieniem dokonywanych w tej gałęzi odkryć. Okoliczność ta uwalnia nas od niezbędnych w takim razie dopełnień i sprostowań.

Podręcznik podzielony jest na 18 lekcyj, z których każda podaje zwięzłe i nader popularne prawidło, zawierające tylko to, co istotną różnicę języka czeskiego od polskiego stanowi. Dziełko urozmaicone jest dwiema nowelkami p. t. *W leśní chaloupce* przez Ottokara Jedliczkę i *Szileniec* (szaleniec) przez Świętopełka Czecha. Na każdą lekcyę wypada część tych nowelek, które obok rozrywki stanowić mają pewne dla uczącego się ćwiczenie. Szkoda tylko, że formy, dotyczące prawidła umieszczonego na czele każdej lekcyi, nie wydrukowano kursywą, co by dla początkującego niemałem było ułatwieniem. Tłomaczenie tekstu dla zrozumienia właściwego charakteru czeszczyzny jest dosłowne, co poniekąd wielce się przyczynia do utrwalenia w pamięci czytelnika tak zwanych idyotyzmów językowych.

Z niedokładności tłomaczenia notujemy tutaj niektóre, a mianowicie: *dowadiwá dieweczata* autor przełożył przez żartobliwe, a właściwie powinno być: swawolne, płoche; *odhodlanost* znaczy stanowczość a nie energię; *tlukot slawiczi* (dosłownie) nie wyraża pienia słowiczego, lecz raczej pukanie. Przy końcu załączone są niektóre próbki poetyczne spółczesnych synów muzy czeskiej w tłomaczeniu p. B. i Miriama, którzy, jak się z przedmowy dowiadujemy, zamierzają wydać antologię poetów czeskich. Między innymi utworami ujrzeć mamy także w nowym przekładzie „Rękopis Królodworski“ Hanki, co jednak dla wątpliwej autentyczności tego zabytku w obliczu świata naukowego uważamy za zbyteczne.

Justyn Feliks Gajsler.

WYDAWNICTWA LUDOWE.

Kazimierz Promyk *Stopniowe opisanie świata.*—Edmund Jankowski *Ogrody polne.*—Jul. Gensz *Gawędy z ludem o chorobach ważniejszych.*—Fal *Opowiadanie brata o rolnictwie.*—Książeczki dziesięciogroszowe *Ziarnko soli.*— St. Sobieski *Zgubiono.*

Powoli zaczyna wychodzić nasza literatura ludowa z zaczarowanego koła moralizujących pogawędek, bezużytecznych i nudnych, które jeżeli chłop czytał kiedy, to chyba dlatego, że nic innego do czytania nie miał. Tylko *Macierz polska* wytrwale trzyma się starej drogi i z uporem godnym lepszej sprawy marnuje grosz publiczny na wydawnictwo różnych rozprawek o wysokich materyach. To też działalność jej pozostaje bardzo organiczoną, podczas gdy prywatni wydawcy, walcząc w dodatku z licznemi przeszkodami, robią i daleko więcej i daleko lepiej. Oto i teraz, kiedy galicyjska instytucya milczy już od dłuższego czasu, p. Prószyński wydaje odrazu prawie dwie książki, które więcej przyniosą chłopu pożytku i więcej go nauczą, niż wszystkie wysoko-moralne, w „poczciwym duchu“ prowadzone nakłady Macierzy.

Jedna z tych książeczek *Stopniowe opisanie świata* jest krótkim podręcznikiem geografii, ułożonym w ten sposób, że autor ściśle przechodzi od opisu szczegółów do wiadomości ogólniejszych. Obserwacya najbliższej okolicy daje czytelnikowi pojęcie widnokręgu, stron świata, wreszcie objaśnienie pór roku. Dalej idzie opis Wisły i ziem przyległych, różnych plemion składających lud polski i miast znaczniejszych, do tego dodaną jest mapa. Druga, z kolejami żelaznemi, łączącemi Warszawę z Petersburgiem, Berlinem i Wiedniem, rozszerza poprzedni opis, dalej autor daje krótkie wzmianki o innych narodach zamieszkujących Europę i krótkie wiadomości o innych częściach świata. Stąd przechodzi do opisania kształtu ziemi i warunków fizycznych a wreszcie wykłada przystępnie system Kopernika, przyczem podaje objaśnienia astronomiczne o słońcu, księżycu, planetach i kometach. Na końcu dopiero zamieszczona jest krótka nauka moralna: „Widzicie więc, jaki to świat ogromny, niezmierzony stworzył Bóg niepojęty dla nas w swej mądrości i mocy, który (kto: Bóg czy świat?) nie ma ani początku, ani końca swego czasu (?), ani granic swej wielkości.“ Bez tych dodatków żadne wydawnictwo ludowe obyć się nie może, bo inaczej zadziobałyby je na śmierć sępy i inne drapieżne ptaki prawomyślnej krytyki.

Książeczka ta służyć może za wyborny podręcznik do nauki dzieci, ale i dorosły włościanin z ciekawością i pożytkiem ją przeczyta, a do głowy jego tą drogą wejdzie wiele pojęć i myśli, które w inny sposób nie znalazłyby do niej przystępu. Pomijamy drobne usterki, zwracamy tylko uwagę autora, że jeżeli uznał za potrzebne szczegółowiej mówić o narodach słowiańskich, jeżeli litwinom poświęcił obszerniejszą wzmiankę, to dlaczego nie wspomniał wcale o pokrewnych i bliskich sąsiadach polskiego ludu — o mało- i białorusinach. Według niego rusini znajdują się jedynie koło Lwowa i dalej na wschód i wyznają wiarę unicką, określenie to stosuje się więc tylko do rusinów galicyjskich.

Dr. Gensz gawędzi o ważniejszych chorobach epidemicznych i zaraźliwych, wskazując środki doraźne i sposoby zachowywania się podczas słabości. Przepisów leczenia nie podaje prawie wcale, i bardzo słusznie, bo takie leczenie domowe najprędzej zaszkodzić może. Pożytecznym jest także rozdział, traktujący o ciąży i połogu. Połowa wiejskich kobiet z nieznajomości rzeczy lub z zaniedbania nabawia się kalectwa na całe życie, a w szczęśliwszym wypadku przepłaca utratą zdrowia. Wykład również jasny i przystępny, szkoda tylko, że autor nie dodał hygienicznych wskazówek.

Książeczka p. Fal *Opowiadanie o rolnictwie* należy do słabszych. Autor uznał za potrzebne prowadzić rzecz w formie dyalogu między braćmi, z których jeden jest gospodarzem a drugi ex-lokajem i poprzedziłją opisem przygód Wojciecha i Macieja. Luźne wstawki już to moralizujące, już zachwalające w naiwny sposób ulepszenia, zaprowadzone przez starannego gospodarza, psują całość. Przedmiot traktowany jest dosyć pobieżnie, po dyletancku, a rady w rodzaju np. urządzenia stajni z podłogą i oknami, wożenia koszyka z węglami dla oczyszczenia wody dawanej do pojenia koniom, podczas gdy właściciel inwentarza mieszka w ciemnej i brudnej izbie i pije nieraz wodę z byle kałuży — zakrawają na ironię, jak również końcowy obrazek, przedstawiający wiejską sielankę, w której dzieci chodzą do szkoły i w gospodzie znajdują się pisma i panienka ze dworu rozdaje książeczki na gwiazdkę! I ckliwe to i nienaturalne i szkodliwe, jak fałsz każdy.

W daleko właściwszy sposób p. E. Jankowski prosto, bez zbytecznej gadaniny uczy, jak hodować krzewy i niektóre warzywa. Chociaż i jego unosi zapał ogrodniczy, więc znaczną część dziełka poświęca hodowli ozdobnych roślin. Ani akacyj, ani świerków chłop sadzić nie będzie dla przyjemności a nawet dla handlu—więcej także niż opisy szparagarni przydałyby mu się

wskazówki, jak sadzić kapustę, buraki i inne ogrodowizny. Ponieważ jednak książeczka przeznaczona jest nietylko dla włościan, ale i dla właścicieli mniejszych posiadłości, niektórzy z nich (jak np. wiejscy koloniści) wiele skorzystać mogą z praktycznych uwag ogrodnika-specyalisty.

Ziarnko soli jest popularno-przyrodniczą pogadanką o tym minerale, który w codziennem życiu tak ważną odgrywa rolę. Do książeczki dodano są drzeworyty i opis salin w Wieliczce i Bochni. Rzecz dosyć ciekawa i przystępnie wyłożona, ale dla czytelnika, który otrzymał chociażby elementarne wykształcenie. Należałoby również może obszerniej pomówić o zastosowaniu soli w rolnictwie, co przydałoby się więcej czytelnikom, aniżeli wyliczenie i objaśnienie przysłów i przypowieści o soli. Taką jak jest książeczka bezpośredniego pożytku nie przynosi, ale stanowić może przyjemny i ciekawy materyał do czytania.

Bo nie należy znowu sądzić, że wieśniak czyta to tylko, co mu namacalną korzyść przynieść może; owszem, interesuje się on wielu rzeczami, nieraz żadnego widocznego stosunku z bytem jego nie mającemi, ale trzeba koniecznie, żeby opowiadanie o nich było napisane zajmująco. Właśnie to stanowi przyciągającą siłę historyj o Magiellonie, o milordzie angielskim, o świętej Genowefie itp. Powiastka p. Sobieskiego p. t. *Zgubiono* jest może pierwszym krokiem w tym kierunku naszej literatury ludowej. Właściwie nawet pisana jest ona nie dla chłopów, ale dla tej licznej klasy drobnych oficyalistów, mieszczan itp., którzy więcej może jeszcze potrzebują książek do czytania i dla których specyalne ludowe dziełka są już nieodpowiednie. Szkoda tylko, że autor niezbyt fortunnie wybrał przedmiot opowiadania. Pieniądze zgubione przez buchaltera żyda, człowieka wykształconego zresztą, znajduje robotnik i wiedząc do kogo należą, przywłaszcza sobie. Potem niewiadomo po co i na co porzuca narzeczoną, którą kocha i jedzie do Ameryki, gdzie spotyka się z pokrzywdzonym, żałuje winy i powraca do kraju — wszystko to opowiedziane jest dosyć zajmująco, ale i tendencya niejasna i niezbyt szczęśliwie wybrana i język straszny, jakim chyba tylko p. Sobieski pisać umie. Oto kilka perełek, zebranych na jednej stronicy: „zastał gościa, stojącego w środku pokoju nadzwyczaj zmienionego (?), który (?) drżącym głosem zapytał;“ „wskazał numer kamienicy *żądanego urzędu*;“ „oglądnął się w pokoju“ i „kiwając po drodze *głową*, kombinował w swej *głowie*.“ W całej powieści pełno takich zdań, jak np. „popadł w proces,“ albo przekręconych wyrazów, np. *pulares, sztakiety* itd. U nas w książkach przeznaczonych dla ludu wszelkie niechlujstwa językowe uchodzą, ale na takie kaleczenie mowy nawet żaden z galicyjskich pisarzy nie odważył się nigdy.

P.

LIBERUM VETO.

Echa Procesu Kraszewskiego. — Konieczne jego następstwa. — Uwłjający się furmani. — Społeczna zgnilizna w opinii. — Równość wobec jej praw. — Neofici moralni. — Propozycya próby. — Żądania taksy. — Wypłoszona poezya. — Zjazd w Krakowie i zapowiedziany kongres we Lwowie. — Wiec na Koszykach.

Echa sprawy Kraszewskiego odbijają się jeszcze w kolumnach prasy naszej. Każde pismo wypowiedziało swój sąd, albo raczej wszystkie wypowiedziały jeden: w Lipsku popełniono niesprawiedliwość. Jest to odpowiedź na głosy gazet niemieckich, które z małymi wyjątkami zawyrokowały: Kraszewski zdradził nas — ale karząc go, usznowaliśmy nawet pobudki tej zdrady. Zwykłą przyprawą takiej wymiany zdań bywają naturalnie połajanki, rzucane nietylko obcym, ale i swoim, którzy grają bodaj o pół tonu niżej lub wyżej. Gdy nieszczęsny proces rozpoczął się, miałem wątpliwości co do jego zakończenia; ale nie wątpiłem ani na chwilę, że dostarczy on powodu do kułaków polemicznych. Zagranicą można widzieć wozy i powozy, wpadające na siebie i rozjeżdżające się spokojnie; ale w Polsce jest niezmiernie ważnym wypadek, ażeby dwu nieprzyjaźnionych furmanów minęło się z bliska, nie nawymyślawszy sobie rzetelnie. Temu zwyczajowi narodowemu zawdzięcza *Prawda* kilka grzecznych słówek w niedzielnej kronice *Kuryera warszawskiego* (która zarazem zbogaciła adwokaturę pysznym sposobem obrony arytmetycznej). Postawiliśmy kwestyę jasno: albo Kraszewski był agentem rządu francuskiego a pośrednio chciał osiągnąć pewne korzyści dla swego kraju — co jest nietylko przekonaniem jawnem sądu lipskiego, ale—tajemnem pism polskich, cieszących się odkryciem „pobudek wyższych“ a co uznaliśmy za grat polityczny, który winien spocząć między rupieciami dyplomacyi rodzimej; albo też wpadł nieświadomie w zdradziecką matnię, co jest i będzie przekonaniem *Prawdy*, dopóki wina znakomitego pisarza pozostanie oparta na dotychczasowych, niedostatecznych dowodach. Tymczasem szan. kronikarz *Kuryera*, zbyt często celujący w nierozumieniu lub przekręcaniu słów cudzych, powiada, żeśmy pierwsze przypuszczenie „skierowali ostrzem do Kraszewskiego“ i oddaje: „Dzisiejsze pokątne (?) szarpanie jego sławy, albo liberalnie - jawne zastrzeżenia co do solidarności (!) z nim, wydają mi się rzeczą *potworną* i dowodem *społecznej zgnilizny*.“ Jakie to... zacne! Prawdziwe cacko swojskiej — nie! — specyalnie warszawskiej filozofii. Nie będę się spierał z autorem tego cacka o Kraszewskiego, gdyż jakkolwiek nie podzielam wspomnianej arytmetyki, dopełniającej humorystycznie obronę Saula, nie różnię się zasadniczo w ocenie wyroku lipskiego od całej prasy polskiej i nie chcę, ażeby człowiek tak zasłużony i tak w ostatnich chwilach życia nieszczęśliwy a prawdopodobnie niewinny płacił koszta występu niezręcznych adwokatów dziennikarskich. Ale pozwolę sobie kilku uwag o naszej „społecznej zgniliznie.“ Kronikarz ma słuszność — istnieje ona niewątpliwie, nie objawiła się wszakże przy procesie Kraszewskiego i w surowości opinii, lecz występuje ciągle w jej pobłażaniu. Jeśli „gnijemy,“ to właśnie z tej strony. Pomału zaciera się u nas różnica między człowiekiem prawym a nieprawym, między uczciwością całkowitą a łataną. Uwija się w naszem życiu mnóstwo neofitów moralnych, dla których jeden artykuł, jedna składka na pomnik lub dobroczynność jest chrztem, obmywającym wszystkie grzechy poprzednie. Prasa otworzyła upusty dla fal wody letejskiej, w której opinia ustawicznie się kąpie i traci pamięć względem ludzi, żądających od niej świadectw. Niedługo uczciwość będzie przyjemnością osobistą dziwaków, ale nie obowiązkiem wszystkich. Jeżeli sumienie czyste ma jednaką wagę ze splamionem, po co zadawać sobie trud utrzymywania go w niepokalaniu? Pytanie to zadaje sobie już dziś wielu a wielu popada w usprawiedliwioną mizantropię. Zapędziliśmy do służby polityce wszystko, zarówno wiedzę i sztukę, jak etykę. Trzeba okrywać i kłamstwami upiększać własne brudy — oto hasło dzisiejszej doby. A tymczasem te brudy się szerzą w tajemnicy, pod patryotyczną osłoną, niszcząc zdrowie ogółu. Wszystkie narody potrzebują moralności surowej, a biedne i nieszczęśliwe żyć bez niej nie mogą. Jest to dziecinne złudzenie, że pomyślność społeczeństwa zależy tylko od ilości spożywanego mydła, wysyłanych listów lub postępów nauki. Obyczaje przyjmują w tej pomyślności udział potężny. Tego my, niestety, nie rozumiemy, chyba wtedy, gdy dużo widzimy rzezimieszków i koniokradów. Oto jest „zgnilizna społeczna,“ a nie zbytnia skrupulatność w ocenie życia nawet najznakomitszego człowieka. Dotychczasowe rachunki Kraszewskiego z długiej działalności były w porządku, to daje nam rękojmię, że ich nie zamknął pozycyą fałszywą i stanowiska swego niegodną; ale gdyby ktoś nawet wątpił o tem szczerze, nie ujawnia tem wcale gangreny, której trzeba szukać po przeciwnej stronie, tam, gdzie gnije nasza pobłażliwa, cnotę z występkiem równająca, głupia lub zdziecinniała opinia. Upoważnia ona do takiego lekceważenia swych sądów, że p. Rembertowski może być kiedyś jeszcze „naszym znanym i szanowanym.“ Kto nie wierzy i chce ryzykować, niech dziś ukradnie konia, za lat parę napisze kilka artykułów przeciw pozytywizmowi lub materyalizmowi i w obronie tradycyi itd. a zostanie kapłanem moralności.

Nawet jeden z najuczciwszych stanów naszego społeczeństwa, lekarze uczuli potrzebę wypracowania dla siebie osobnej etyki. I wypracowało ją Towarzystwo lekarskie, ale podobno nie udała się. Tkały robotę rozmaite ręce i na rozmaitych postawach, więc wypadła w swym wątku nie dość spójna. Ale cóś wart i materyał dla kodeksów przyszłych, jeśli się okażą potrzebne. Tymczasem gwałtu robić nie potrzeba, bo — jak rzekłem — dzieci Hygii więcej nam dostarczają przykładów dodatnich, niż ujemnych. I między niemi rodzą się się potwory, ale i bohaterów nie brak. Najpiękniejszym, najwięcej moralnych blasków rozrzucającym charakterem ze wszystkich, jakie znałem, jest lekarz. Pamiętam o nim zawsze i widzę obok niego długi szereg ludzi zacnych, gotowych do poświęceń, ożywionych temi czystemi uczuciami, które rzadko już dziś odświeżają powietrze czasu, zatrute wyziewami samolubstwa.

Kiedy lekarze warszawscy rozmyślają nad etyką, prowincyonalni domagają się taksy. Jeden z nich podnosi w *Gazecie polskiej* słuszną skargę. Jak to — powiada on — szewcowi lub krawcowi służy prawo do wynagrodzenia, a lekarz musi sekretnie przyjmować dopłatę, wsuniętą mu w rękę przy pożegnaniu lub z ceremonią wstydliwości w osobnym pokoju? Dlaczego to niema być zarobek jawny i odarty z osłonek tajemniczych? Dlaczego ma pozostawać jedynie pod opieką grzeczności i dobrej woli dłużników? Pytania i wyrzuty słuszne. Niewątpliwie zwyczaj ten jest niedorzecznym, ale ma on swoją stronę estetyczną. Lekarz nie wchodzi do naszego domu jak szewc lub krawiec a nawet adwokat, ale jak zbawca, dobroczyńca, wchodzi z aureolą poezyi, której nie chcemy rozwiewać jawną zapłatą. Utrzymujemy na tym stosunku pozór idealny. Ponieważ wszakże tym pozorem osłania się często wyzysk, ponieważ utrudnione warunki istnienia zmuszają lekarza do ubezpieczenia materyalnych owoców ciężkiej pracy, więc wypłasza on ze swego zawodu poezyę, która i z tego pola pierzchnie, ustępując miejsca nie tak estetycznej, ale pożyteczniejszej i rozsądniejszej prozie.

W tej chwili odbył się już w Krakowie zjazd badaczów literatury polskiej. Da on nam niezawodnie wyniki poważne, bo był naradą nie reporterów i toastowiczów, ale ludzi naukowych. Mniej spodziewam się od zapowiedzianego na wrzesień kongresu literackiego we Lwowie. Tych bedłek w naszym barszczu dziennikarskim za wiele. Zeszłego roku zjazd, tego roku ad dwa — doprawdy głowa boli, zwłaszcza gdy pomyślimy o myszach, urodzonych przez wielkie góry. Ściągać kilkuset ludzi do Lwowa po to, ażeby jeszcze raz pokiwali palcami w butach nad własnością literacką, trzasnęli kilka mówek i na wycieczkach zro-

bili przyjemność restauratorom — doprawdy nie warto. Pojmuję dobrze, iż Lwów, zazdroszcząc Krakowowi, chce także mieć swój kongres, alež to znowu nie tak pilna potrzeba, ażeby z nią nie można było poczekać lat parę. Tymczasem niemcy, francuzi i anglicy nie zrabują naszej własności literackiej. Ot lepiej zbierzmy się na Koszykach i pomyślmy: jak by pobudzić tę nieszczęsną kanalizacyę Warszawy a zwłaszcza przyspieszyć budowę wodociągów, gdyż niedługo będziemy otwierać spragnione usta ku niebu, ażeby nam trochę w nie deszczu nakapało?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Morze martwe na prowincyi.—Dowcipny sposób odbudowywania miast. — Opluwanie własnej brody. — Szpitale. — Nadzieja prześladlenia się wszystkich do kozy. — Skazani na nędzę. — Prośba niewiast. — Maskarada.

Obecnie, można powiedzieć, prowincya nie istnieje wcale, bo kwiat jej inteligencyi porzucił posterunki, broniące „upadającej własności ziemskiej“ i czasowo przeniósł obywatelską działalność swoją do innych miejsc. Podczas gdy my w Warszawie w porze wyścigów i wystawy podziwiać będziemy „kwiaty społeczeństwa,“ najwyższa i najdelikatniejsza jego kwintesencya ulotniła się zagranicę do wód dla podreperowania starganego zdrowia. Pusto, głucho wszędzie—prasa prowincyonalna pomieszcza tylko anegdotki lub przepisuje troskliwie pisma warszawskie. *Korespondent płocki* daje czytelnikom korespondencye z Podola lub Paryża, *Gazeta lubelska*, odkrywszy kołdry, należące do książąt Czartoryjskich, stara się teraz odszukać innych sprzętów, zdobiących niegdyś ich sypialnie a *Tydzień* piotrkowski w skromnej bajeczce rozwiązuje odrazu całą kwestyę socyalną, nad którą daremnie poci się Bismark.

Ze Szczercowa piszą do *Tygodnia* o fakcie, który świadczy, że ludność żydowska nie stanowi wyodrębnionej całości w naszym układzie społecznym — owszem, z chrześciańską łączą ją węzły wspólnych poglądów i wspólnych usiłowań. W historyi ostatniego dziesięciolecia Szczerców słynął z corocznych pożarów, urządzanych w ten sposób, że miejscowi izraelici ubezpieczali wysoko swe budowle i potem sami je palili. Za pomocą tego dowcipnego procederu, powtarzanego kilkakrotnie z powodzeniem, osada zabudowała się wcale porządnie a mieszkańcy doszli do dosyć znacznej zamożności. Dobry przykład nie pozostał długo bez naśladowania; wieśniacy okoliczni, wolni od wszelkich rasowych przesądów, skorzystali zeń i palą sami swe budowle, spodziewając się osiągnąć również pomyślne rezultaty.

Obawiam się, że jaki antisemicki wyżeł, węsząc zapach cebuli w polskiej prasie, nawet w tym ustępie dopatrzy schlebiania żydom, o które kilkakrotnie mnie już oskarżył. Nie będzie to dlań trudnem, bo ten apostoł chrześciańskiej moralności, oczyszczonej z semickich domieszek, nie cofa się nawet przed świadomem kłamstwem, przed literackiem fałszerstwem, bo nazwać nie mogę przytaczania w cudzysłowie zdań, których nigdy nie napisałem. Pragnąc bodaj za cenę awantury pozyskać reklamę, nadstawia on ciągle swą „kamienną“ fizygnomię. Myli się jednak, sądząc, że polemizować z nim będziemy. Niech więc sobie pluje potwarzą, fałszem i bezsilną żółcią — nas nie dosięgnie jego ślina, bo „mąż zaciekły w gniewie opluwa własną brodę.“

W Płocku istnieje stowarzyszenie spożywcze *Zgoda*. Sklep jego cieszy się powodzeniem śród publiczności, bo sprzedaje towary dobre po cenach umiarkowanych. Inaczej jednak patrzą na tę kwestyę członkowie stowarzyszenia, z których czwarta część tylko kupuje we własnym swoim sklepie. Doprawdy, trudno odgadnąć, po co ci panowie stali się uczestnikami i po co założyli sklep, jeżeli bez niego wybornie obyć się mogą. Niestety, smutna ta historya powtarza się we wszystkich naszych instytucyach, opartych na szerszym udziale i solidarności członków.

Dziennik łódzki donosi, że miejscowi kapitaliści złożyli fundusz potrzebny na utrzymanie dwudziestu łóżek w szpitalu, sądzi on jednak, że daleko pożyteczniejszem byłoby otwarcie instytutu położniczego i szpitala dla dzieci. Rzeczywiście w miastach prowincyonalnych brak specyalnych szpitali dotkliwie daje się czuć. Waryaci spacerują po ulicach i grzmocą kijami przechodniów, położnice rodzą nieraz w chlewie albo na strychu, a ubogie dzieci umierają bez żadnej pomocy.

Obywatele w t. z. kraju zachodnim cieszą się z projektów nowego prawa o najmie, które, według doniesień niektórych gazet, oprócz odpowiedzialności cywilnej grozić będzie niesłownemu robotnikowi karą kryminalną. Wiadomość ta wydaje się nam po prostu niemożliwą, chociażby z tego względu, że umowa o najmie jest zobowiązaniem czysto cywilnej natury; w razie przyjęcia w tym wypadku odpowiedzialności karnej należałoby np. sadzać do kozy dłużnika, który nie zapłacił w terminie. Podstawa prawna jest zupełnie ta sama. Ładnie by wyglądali wtedy pp. obywatele, którzy cieszą się dziś, że za zerwanie umowy wsadzić będą mogli parobka do więzienia. Pan uwięzi parobka, pana — handlarz zbożem za niedostawienie na czas sprzedanej pszenicy, handlarza—kapitalista za niezapłacenie długu w terminie itd. Ha, jaki wtedy byłby spokój i porządek, bo połowa mieszkańców siedziałaby w kozie, a druga pilnowała zamkniętych!

Widocznie pod wpływem tego pomieszania pojęć prawnych jakiś obywatel miasta Łodzi, spotkawszy niewypłacalnego dłużnika, obił go kijem i zmusił do uiszczenia należności. Ale sądy, niepodzielające poglądów obywateli litewskich, pociągnęły pomysłowego egzekutora do odpowiedzialności.

Zanim właściciele ziemscy za Bugiem uzyskają nowe prawo wsadzania do kozy niesumiennych parobków, powinni pomyśleć nieco nad *prawem do pracy*, które świeżo ogłosił niemiecki kanclerz. Z upragnieniem oczekują jego zastosowania setki oficyalistów wiejskich w gubernii mińskiej, pozbawionych wszelkiego zajęcia. Przyczyną tego jest upadek gospodarstw i wzrastająca liczba dzierżawców żydów, którzy albo wcale oficyalistów nie trzymają, albo posady te oddają swoim współwyznawcom. Obecnie znowu przeszło trzydziestu posesorów porzuciło dzierżawy i miejsce ich zajęli żydzi. Ekonomowie, pisarze i inni urzędnicy gospodarczy daremnie wyczekują pracy, ludzie ci do innych zajęć nie są zdolni a odpowiednich posad nie ma. Zmiana stosunków włościańskich i zniesienie poddaństwa wytworzyło ze służby dworskiej liczny proletaryat niezdolny prawie do żadnej roboty, a zmiana stosunków rolnych, postępująca powolnie, zasila go coraz nowemi warstwami. Miasta i miasteczka na Litwie i Białorusi roją się setkami tych wykolejonych b. lokajów, kucharzów, szafarek, pokojówek a nawet ekonomów i pisarzów; ludzie ci żyją z dnia na dzień o głodzie i chłodzie, chociaż chętni do pracy, ale do żadnej prawie niezdolni, z nich rekrutują się przestępcy wszelkiego rodzaju. Wymiera to powoli, często z głodu, ale od razu wymrzeć nie może, a do zmienionych warunków życia przystosować się nie umie. Ze wszystkich rodzajów nędzy żal mi zawsze najbardziej tych rozbitków, tych niewinnych ofiar, pokutujących za grzechy ustroju społecznego, którego nie wytwarzali wcale, który im może najbardziej dał się we znaki, ale którego zmiana im najdotkliwiej uczuć się dała.

Korespondent *Gazety polskiej* z Kowna donosi, że w tem mieście istniejące *cafés-chantants* cieszą się niezwykłem powodzeniem: płeć męska całe wieczory spędza w gronie wesołych śpiewaczek, pozostawiając na pastwę nudom swoje małżonki. W zeszłym roku żony urzędników różnych dekasteryj zrobiły zbiorowe podanie do gubernatora, prosząc go o zamknięcie tych przybytków syren, wabiących wrażliwych małżonków. Grzeczny naczelnik przychylił się do błagalnej prośby i rozkazał zamknąć ogródki. Obecnie znowu je otwarto ku uciesze niepoprawnej płci męskiej i strapieniu niewiast, które użyć zamyślają powtórnie wypróbowanego środka.

P. Wiktor Gomulicki ogłasza, że w Częstochowie zjawił się jakiś samozwaniec, który podszywa się pod jego imię i pod tym płaszczykiem dopuszcza się sprawek, z któremi prawdziwy posiadacz nazwiska nie chce mieć nic wspólnego. *Tydzień* z tego powodu robi uwagę, że w prowincyonalnych miastach często zjawiają się samozwańcy, wydający się za mniej lub więcej znanych literatów warszawskich a zachowują się w ten sposób, że to ich imiennikom zaszczytu nie przynosi. Podobno nawet znalazł się jakiś szczególny amator, który przywłaszczył sobie nazwisko p. Jeleńskiego i płata figle żydkom w małych miasteczkach. Także gust!

X.

Kijów. Głowy dotychczas Kijów odszukać nie może. Co za okropność! Wszystko jest — jednej bagateli tylko brakuje — głowy. Ale trudna rada, zlepić jej sobie nie można, chociażby z kaolinowej gliny, której u nas pod Meżigoriem jest dosyć.

Prawdę powiedziawszy, nie wszyscy tak bardzo troszczą się naszem „bezgłowiem.“ Woły robocze odpowiadają obojętnie na interpelacyę: kto to będzie głową? Wszystko jedno — gorzej nie będzie... a jak będzie — to jakoś Bóg da!

U nas z wiosną ożywiły się umysły; prasa widocznie żwawsza, bo *Kijewlanin* i *Zaria* codziennie się łają i wojna od redaktorów przeszła do reporterów, którzy w tej sprawie nie mniej okazują energii od pryncypałów, a w krytycznym razie dają „fugę“ z obozu do obozu, jak to się stało podobno z jednym „naszym znanym“ reporterem z *Zari*.

Sezon wiosenny rozpoczęliśmy — jubileuszem profesora tutejszego uniwersytetu p. Awenariusa. Chociaż, co powiemy, do jubilata nie stosuje się wcale, ale przyszedł nam na myśl *Sen w noc letnią* Szczedryna. Z początku jubilat (pomocnik *egzekutora*, noszący jeszcze jeden tytuł, który ciekawy czytelnik w oryginale odszuka) czuł się trochę żenowanym, potem łzy mu błysnęły w oczach — zapewne wskutek przejęcia się uroczystością — potem oswoił się ze swoją pozycyą i głośno przemówił: Panowie! dziękuję wam... ale myślę, że gdybyście wy zajrzeli do jakiej wioski, tam znaleźlibyście ludzi godniejszych uczczenia niż ja... A zatem więc wszystkie te jubileusze... i tak dalej.

Jubileusz u nas był... ładniejszy. Cały sęk w tem, że p, Awenarius już 25 lat pobierał pensyę za nauczanie młodzieży; trzebaż było uczcić taką zasługę. Ktoś wyrzekł wielkie... słowo, że p. A. przez lat 25 pracował dla „russkiej nauki.“ Myśleliśmy dotychczas, że nauka narodowości nie zna. Mniejsza o to. Ale jakimże to sposobem pracował szan. jubilat dla *russkiej* nauki! Bardzo prosto: pobierając pensyę z rosyjskiego uniwersytetu i pisząc większość swoich dzieł — po niemiecku. Już jeżeli trzeba ofiarować jego zasługi jakiej narodowości, to chyba—niemieckiej.

Wkrótce ma być pięćdziesięcioletni jubileusz uniwersytetu kijowskiego, 25-letni nie był jeszcze wtedy „w modzie.“ Zresztą nic u nas cieka-

wego nic ma. Pomnik Chmielnickiego stoi zawsze zaszalowany, wysunął wprawdzie już jedną rękę i pokazuje kijowianom — pięść zaciśniętą.

Fr. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 maja.

Parlamenty: niemiecki, pruski i węgierski zawiesiły swoje obrady. W Austryi wszakże niedługo zbiorą się delegacye wspólne. Z Koła polskiego wybrano 7 delegatów: Chrzanowskiego, Czajkowskiego, Czerkawskiego, Grocholskiego, Hausnera, Jaworskiego i Smolkę. Z Czech wybrani członkowie klubu czeskiego 46 głosami przeciw 38 głosom posłów niemieckich.

Natomiast otwarto skupczynę serbską w Niszu i kortezy w Hiszpanii. W tym ostatnim kraju wrzenie umysłów trwa ciągle — a rząd zamyśla surowo karać wszelkie zamachy. W procesie toczącym się w Badajoz prokurator zażądał kary śmierci dla 153 oskarżonych republikanów, schwytanych z bronią w ręku.

W Izbie francuskiej toczą się dalej obrady. Po przedstawieniu traktatu z Chinami i uzyskaniu nowych kredytów dla Tonkinu i Madagaskaru, Ferry wniósł projekt rewizyi konstytucyi, zawarty w jednym tylko artykule. Proponuje ogłoszenie rzeczypospolitej za ostateczną formę rządu, zmianę ordynacyi wyborczej do senatu, zniesienie godności senatorów dożywotnich i ograniczenie praw senatu co do decydowania w kwestyach budżetowych. W Izbie deputowanych wniosek prezesa ministeryum pozyskał znaczną większość, istnieje wszakże obawa, że senat nie zechce zgodzić się na uszczuplenie swoich praw i odmówi zwołania kongresu, do czego potrzebną jest zgoda obu Izb.

W rocznicę zbiorowego wymordowania komunistów przez wojska wersalskie odbyła się w Paryżu wielka demonstracya. Na cmentarzu zebrały się tłumy ludu i przeciągały po mieście z czerwoną chorągwią i okrzykami: Niech żyje Rzeczpospolita socyalna! Policya nie mieszała się wcale i dzięki temu do zaburzeń żadnych nie przyszło.

Mahdi wzrasta ciągle w siłę, najnowsze wiadomości donoszą, że zdobył on stolicę prowincyi Darfur, w której pozostawała załoga egipska, licząca 9,000 ludzi. Podobno rząd angielski, widząc bezskuteczność dotychczasowych środków działania, zamierza wkrótce wysłać do Sudanu zbrojną ekspedycyę. Czy tylko nie zapóźno?

Kolonialne zachcenia niemieckie zaczynają się urzeczywistniać. Na zachodnim brzegu Afryki pewna firma bremeńska nabyła terytoryum Angra-Paquena; obecnie wysłany został przedstawiciel rządu dr. Nachtigall, który zatknąć ma tam flagę germańską. Będzie to więc pierwsza kolonia państwowa niemiecka. Ale zamiary niemców sięgają dalej, uśmiecha się im kolonizacya wybrzeży Kongo i w tym celu weszli w układy z „międzynarodowem stowarzyszeniem afrykańskiem,“ na czele którego stoi król belgijski. Wywołało to popłoch we Francyi, przypomniano sobie dawną umowę z tem stowarzyszeniem, orzekającą, że Francyi służy pierwszeństwo w nabyciu tych posiadłości, gdyby towarzystwo pozbyć się ich chciało. Cała sprawa uległa więc zwłoce, ale Niemcy mają nowy powód do niezadowolenia a w danym razie jeden jeszcze pretekst do wojny.

Agitacya za przyznaniem kobietom w Anglii praw wyborczych wzrasta ciągle; na czele ruchu stanęła żona ministra Fawcetta. W łonie gabinetu kilku członków oświadczyło się za reformą, tylko Gladstone wahał się dotąd i odmówił wniesienia odpowiednich poprawek do bilu o reformie wyborczej.

Petersburg. Przyczyną katastrofy (wykolejenie pociągu) na drodze mikołajewskiej było zbrodnicze uszkodzenie toru. W następnym pociągu jechało kilku członków rodziny cesarskiej.

Lwów. Odbyły się tu rewizye u osób podejrzanych o knowania socyalistyczne. Po mieście rozlepiono odezwę do robotników, podpisaną wspólnie przez socyalistów polskich i rusińskich wschodniej Galicyi.

DOBRA NOWINA.

Słynny badacz bakteryj, Pasteur, którego doświadczenia i wyprowadzone z nich środki lecznicze stanowią epokę w nauce, zelektryzował świat nowiną, zapowiadającą sposób skutecznej walki z wścieklizną. Podajemy tu jego list przesłany paryskiej Akademii a trzymający od tygodnia ciekawość inteligentnych sfer Europy w niezwykłem natężeniu.

„Fakt, że zabójcze działanie pewnych materyj jadowitych jest zmiennem i że usunięte być może przez inne mniej silne trucizny, został nietylko uznany w nauce, ale zużytkowany w życiu praktycznem. Wychodząc z tego faktu, należy w poszukiwaniu nowych zastosowań jadów do przeciwdziałania zabójczym siłom jadowitym widzieć jedno z najważniejszych badań. Dziś mam zaszczyt uwiadomić Akademię o takim postępie, dotyczącym wścieklizny.

I. Jeżeli jad jej przeniesiemy z psa na małpę, z niej na inną itd., to jego skutki przy każdem przejściu okażą się słabsze. Jeżeli zaś tą drogą złagodzony przeniesiemy znowu na psa lub zaszczepimy zającowi, królikowi, śwince morskiej, to będzie on działał słabo. Innemi słowy, działanie jadu nie dosięga już tego wysokiego stopnia, w jakim pierwotnie wywoływało u psa wściekliznę. Przez dalsze przejścia z małpy na małpę wpływ zarazy tak maleje, że po wstrzyknięciu jadu pod skórę psu nie wzbudza ona w nim wścieklizny. Nawet jad przeniesiony zapomocą trepanacyi, dotychczas najpewniejszego środka wywołania wścieklizny, nie działa wcale, owszem sprowadza stan, w którym zwierzę jest na nią nieczułem.

II. Działanie zarazka wścieklizny wzmaga się, gdy go przeniesiemy z jednego królika na drugiego, lub z jednej swinki morskiej na drugą. Jeżeli wzmocniony do maximum drogą takich przeszczepień jad zastrzykniemy psu, to objawi się on w nim straszliwie i dosięgnie w skutkach daleko wyższego stopnia, niż przy wściekliźnie zwyczajnej, w każdym zaś razie psa zabije.

III. Chociaż siła działania zarazy po przejściu z psa na królika słabnie, można ją znowu wzmocnić i do maximum doprowadzić, przenosząc jad z małpy na królika lub świnkę morską i dalej na zwierzę jednorodne; to postępowanie wszakże musi być powtórzone wielokrotnie. Najwyższe napięcie działania zarazy, które przy zwyczajnej wściekliźnie nie występuje, można również wywołać, zaszczepiając psu jad, który został spotęgowany w przejściu przez krew wielu królików. Odpowiednie zastosowanie wskazanych tu wyników dostarcza łatwego środka ubezpieczenia psów przeciw wściekliźnie. Naturalnie eksperymentator winien przy swych pracach posiadać materyę jadowitą w rozmaitych stopniach. Objaśni to następujący przykład. Weźmy zarazek z martwego królika, który zdechł skutkiem trepanacyi; śmierć następuje 7 — 8 dni po zaszczepieniu najsilniejszego jadu. Zarazek ten, znowu przez trepanacyę, wprowadźmy królikowi drugiemu, z tego — trzeciemu. W każdem dalszem przejściu jad się wzmocni. Jeżeli tedy z każdego królika przeniesiemy zarazę na psa, to będzie on ciągle zyskiwał na sile opornej i nakoniec zniesie bez niebezpieczeństwa jad, śród zwykłych okoliczności działający śmiertelnie. Na wszelki więc rodzaj jadu wścieklizny stanie się nieczułym i przeciw niej osłoniętym. Przez inokulacyę krwi zwierząt udało mi się uprościć szczepienie i uczynić psa zupełnie niedostępnym dla tej zarazy. Odnośne doświadczenia wkrótce przedstawię Akademii. Byłoby niezmiernie ważnem odkrycie środka, pokonywającego w psach skłonność do wścieklizny. Liczne próby, jakich dokonałem, pozwalają mi spodziewać się szczęśliwego rozwiązania tej kwestyi. Opierając się na doświadczeniach, mam wszelką podstawę mniemać, że będzie można znaleść środek ochronny, który zobojętni zabójcze skutki ukąszenia psów wściekłych. Pierwsze próby wypadły mi bardzo pomyślnie; trzeba je wszakże powtórzyć wiele razy na rozmaitych zwierzętach i zbadać, zanim ich wyniki wprowadzimy do medycyny i zastosujemy do ludzi. Akademia łatwo zrozumie, że mimo całej ufności, jaka mnie ożywia przy moich od lat czterech ponawianych doświadczeniach, ogłaszam dziś z pewną obawą fakty, które ni mniej ni więcej tylko doprowadzić mają do lekarstwa przeciw wściekliźnie. Gdybym posiadał dostateczne środki materyalne, byłbym szczęśliwym mogąc opóźnić to zawiadomienie aż do czasu sprawdzenia moich prac przez kilku moich kolegów z tej i medycznej Akademii. Ze względu na tę obawę wniosłem prośbę do ministra oświaty o wyznaczenie komisyi do zbadania moich doświadczeń z psami. Główny eksperyment polegać będzie na tem, że zrobimy próbę na 20 psach, w powyższy sposób przezemnie ubezpieczonych i 20 zwyczajnych. Tych 40 psów wystawimy na ukąszenie wściekłych. Jeżeli moje wnioski są słuszne, to 20 psów ochronnych oprze się zarazie, 20 zaś innych ulegnie jej. Drugiej, niemniej ważnej próbie, poddamy 40 psów, z których jednej połowie wobec komisyi zaszczepimy jad, drugiej — nic. Następnie wszystkie strepanujemy jadem psa wściekłego. 20 szczepionych oprze się działaniom jadu, pozostałych 20 dostanie wścieklizny.“

Dotąd Pasteur.

Jeżeli te niezmiernej doniosłości próby (dla której komisyę już wyznaczono) wypadną szczęśliwie, geniusz Pasteura obdarzy ludzkość jednem z największych dobrodziejstw.

WYKŁADY PUBLICZNE.

Z dziedziny pedagogii.

(Słupski).

Prelegent rozpoczął od zaznaczenia zbawiennego wpływu „walki o byt“ na rozwój i postęp społeczeństw. Tylko ciągłe zapasy z nieprzyjaznymi warunkami zmusić nas mogą do zdobywania coraz to nowych, coraz lepszych środków obrony. W szeregu tych ostatnich najprzedniejsze miejsce zajmują nasze uczucia i rozum, jak również i przymioty naszej organizacyi cielesnej. Wszystkie te czynniki, znajdując się w ścisłym związku z procesem dziedziczności, tem niemniej ulegać mogą potężnemu działaniu wpływów zewnętrznych. Stąd łatwo już zrozumieć, jak wielką dla postępu musi mieć wagę wychowanie wogóle, a nauczanie w szczególności. Postawiwszy kwestyę na tak szerokim gruncie naukowym p. Słupski i w dalszym ciągu starał się ją przestawić również filozoficznie, chociaż dość pobieżnie i krótko.

Cel nauczania bywa dwojaki: zbogacenie umysłu ucznia możliwie znaczną ilością twierdzeń i faktów naukowych oraz rozwinięcie wszystkich władz jego ducha. Od większego uwzględnienia pierwszego lub drugiego z tych celów zależeć musi *metoda* nauczania. W pierwszym wypadku rozwijamy przeważnie pamięć, podajemy uczniowi całe szeregi gotowych formułek, przepisów i wniosków; w drugim zaś rozwijamy głównie jego zdolność myślenia, wprowadzając młody ogranizm na pole badań i poszukiwań samodzielnych. W pierwszym razie posługujemy się dedukcyą, w drugim indukcyą.

Widoczną jest rzeczą, że dla społeczeństwa bardziej pożądanymi będą wyniki metody drugiej. Najdzielniejszym orężem, jaki zdobyła sobie in-

dukcya pedagogiczna ostatnich czasów, jest t. z. *metoda poglądowa*. W nauczaniu pierwotnem odgrywa ona taką samą rolę, jak doświadczenie w wyższych badaniach naukowych.

Podawszy króciuchny rys historyczny rozwijania się owej metody u nas i zagranicą, wspomniawszy o Pestalozzim, o naszej Komisyi edukacyjnej i Piramowiczu, przeszedł pan S. do objaśnienia słów swoich *na przykładzie*. Praktyczna lekcya *o motylu* z siedmioletnią dziewczynką stanowiła najsłabszą stronę odczytu. W pomyśle swym [illegible]konaniu pozostawiała ona do życzenia [illegible] wiele. Gdyby można było przypuszczać, [illegible]iz siedmioletnia debiutantka nie powtarza niewolniczo tego, czego się uprzednio nauczyła na pamięć, gdyby odpowiedzi jej były wynikiem tylko dawniejszych lekcyj — podobnych, ale nie takich samych—natenczas rozmowa o motylu posiadałaby poważną wartość *doświadczenia, przykładu* — objaśniającego prelekcyę; ale tu i uczennica i jej występ publiczny robiły niemiłe na słuchaczach wrażenie; pierwsza — jako niewinna ofiara ciekawego tłumu, drugi — jako rzecz do zbytku *przygotowana*. Tych stron ujemnych pomysłu prelegenta okupić nic mogło niestety wykonanie. P. Słupski nietylko zdradził brak odpowiedniej wprawy pedagogicznej, ale, co gorsza, w zapytaniach swoich zadawał ciężkie ciosy wychwalanej przed chwilą przez siebie metodzie indukcyjnej. Z ważniejszych jego błędów wymienię tutaj zbyt pośpieszne przejście do określenia różnicy pomiędzy motylem i wróblem.

Jakiemkolwiek było praktyczne zastosowanie wygłoszonych przez p. S. poglądów, wartość ich pozostanie zawsze dość znaczną, a jak na nasze stosunki niepospolitą. Potrzeba było rzeczywiście posiadać pewną dozę odwagi cywilnej, aby wobec naszych bigotów wyświetlać cywilizacyjne wpływy walki o byt. Należy się też prelegentowi od nas szczere uznanie, które wyrażamy tem chętniej, iż chcielibyśmy wynagrodzić mu owe liczne, świecące pustkami krzesła, gdzie miały zasiąść, a z powodów nam niewiadomych nie zasiadły — kapłanki naszych ognisk rodzinnych. Okazuje się, iż łatwiej jest uciekać do sypialni przed widmem emancypacyi, niż przejść się do Resursy obywatelskiej — na odczyt o wychowaniu dzieci — bodajby nawet pod rękę z „władcą duszy i ciała.“

I. K. Potocki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Album malarzy polskich zeszyt II zawiera: Pileckiego *Przebudzenie się Goplany* i Żmurki *Śmierć Messaliny*.

Wystawa. Podczas wystawy inwentarza odbywać się będą obrady ziemian.

Kraszewski osadzony został w twierdzy magdeburskiej.

Szkoły. Z 2371 elementarnych szkół ludowych w Królestwie jest 1818 wiejskich, utrzymywanych jedynie na koszt gromad włościańskich i 553 gminnych, opłacanych przez wszystkich mieszkańców gmin.

— Dzienniki rosyjskie donoszą, że ministeryum dóbr państwa wszelkie prośby właścicieli ziemskich o zapomogi dla niższych szkół rolniczych włościańskich odsyła do departamentu rolnictwa, który na subsydyum chętnie zezwala, żądając tylko ścisłego przestrzegania jednostajności programu.

Uniwersytet w Czerniowcach na Bukowinie, założony przed 7 laty dla celów germanizacyjnych, liczy nie więcej jak 150 studentów. Profesorowie tego uniwersytetu, uważając dalsze istnienie jego za bezużyteczne, podali do rządu prośbę o przeniesienie go do Berna albo innego miasta.

Ograniczenie. Świeżo podany ukaz poleca wydziałowi kodyfikacyjnemu wygotowanie projektu, zabraniającego urzędnikom zajmowania posad w instytucyach prywatnych.

Kanalizacya. Komisya przysłana z Petersburga dla rewizyi robót kanalizacyjnych zaopiniowała, że prowadzone są one zbyt opieszale i zaleciła większy pośpiech.

Prasa polska. W Tarnowie (w Galicyi) pod redakcyą p. Nowogrodzkiego wychodzić zaczęły dwa pisma: *Gazeta tarnowska* i *Głos tarnowski*, każde co dwa tygodnie.

Kolonie letnie. *Sprawozdanie z kolonij letnich dla biednych słabowitych dzieci*, ogłoszone przez d-ra Fritschego, który głównie zajmuje się popieraniem tej pożytecznej instytucyi, podaje, że w ubiegłym roku wysłano na miesiące letnie 33 chłopców i 53 dziewcząt. Koszta utrzymania wynosiły przeciętnie rs. 22 k. 70 na dziecko, to jest taniej trochę niż zagranicą, gdzie na kolonie letnie wysyłają się tysiące ubogich dzieci. Oprócz tego wysłano na wieś 17 starszych chłopców, którzy najczęściej udzielali lekcye, niemęczące ich. Koszta pokryły się składkami publicznemi, ale obecnie zasób jest wyczerpany, dr. Fritsche wzywa więc do nadsyłania ofiar. Osoby mieszkające na wsi, któreby chciały wziąść do siebie jednego lub dwu młodzieńców, proszone są o nadsyłanie deklaracyi. W przyjmowaniu składek redakcya *Prawdy* chętnie ofiaruje swe pośrednictwo.

Komisya w sprawie Kamińskiego, byłego posła galicyjskiego, ukończyła swoje czynności skargą, że rząd odmówił jej potrzebnych wyjaśnień i że dzienniki, zarówno niemieckie jak polskie, obficie pliły z kieszeni barona Schwarca. Tfu! na tę ohydę.

Zjazd historyczno-literacki, urządzony staraniem Akademii umiejętności w Krakowie, został otwarty przemową prof. Tarnowskiego. Na przewodniczącego wybrano Kazimierza Jarochowskiego, na wiceprezesów: Węclewskiego i Spasowicza, na sekretarzów: R. Pilata, Piotra Chmielowskiego, Ćwiklińskiego i Morawskiego.

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich odbędzie się w Poznaniu od 2 do 5 czerwca. Na ogólnych zebraniach czytać będą: dr. Szokalski: O obserwacyi przyrodniczej u nas i w innych krajach i o Jędrzeju Śniadeckim oraz wpływie jego *Teoryi jestestw organicznych* na ogólny rozwój biologii; dr. Krówczyński: O wpływie dziedziczenia na życie indywidualne i narodowe; dr. Rakowski: O tajemnicy życia. Oprócz tego mają być wykłady na 10 sekcyach, na które zjazd się podzielił.

Robotnicy angielscy. Dyrektor towarzystwa statystycznego w Londynie Giffen podaje cyfry, dotyczące bytu klasy robotniczej w Anglii dziś i przed 50 laty. W tym okresie czasu zarobek powiększył się o 70% a w niektórych razach o 100%, gdy tymczasem liczba godzin pracy zmniejszyła się o 20%. Ceny wielu produktów spadły, np. centnar pszenicy kosztuje teraz o 5 do 10 szylingów mniej, cukier staniał w trójnasób, wyroby wełniane i bawełniane również, tylko mięso podrożało o 20% a mieszkania w dwójnasób, ale są za to wygodniejsze i hygieniczniejsze. Śmiertelność zmniejszyła się a przeciętny wiek życia przedłużył. W 1830 r. 429,000 osób posiadało w kasach wkładowych 15 mil. f. sz., dziś liczba uczestników wzrosła do 4,140,000 a suma wkładów do 80 mil. f. szt. W 1851 uczęszczało do szkół subsydyonowanych przez rząd 328,000 dzieci, w 1881 — 3,275,000. To względne polepszenie swego bytu zawdzięczają angielscy robotnicy głównie sobie—swojej energii i zadziwiającej solidarności w działaniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Piotrowi Paw. w Lublinie. Można bez dyplomu, ale trzeba co najmniej ukończyć pięć klas.

P. Al. N. we Lwowie. Odebraliśmy—odpowiemy listownie.

OFIARY.

Dla studentek w Petersburgu. W. O. z Opoczna nadesłane niewłaściwie jako należność rs. 15.—Minkiewicz Feliks rs. 5; Wiszniewski Stanisław rs. 2; Rogalewicz Dyonizy rs. 3; Rogiński Roman rs. 5; Lutz Karol rs. 5; Pląskowska Joanna rs. 2; Kamiński Feliks rs. 2; Węgielewski Feliks rs. 2; Czyżewski Antoni rs. 5; Gliński B. rs. 5; Wierzbicki rs. 3; Kłodawski rs. 3; Rychliński Stanisław rs. 2; N. N. rs. 2; Trepka Kazimierz rs. 5; Boczenos rs. 2; Koperski rs. 4; Tomkowidowa Aleksandra rs. 2; Szenwic Jakób rs. 10; Jaczewski Leonard rs. 3; Smirnitski rs. 3; Kałusowski Cezary rs. 2; Domański Wacław rs. 3; Tarasewicz rs. 1; Letki rs. 5—z Irkucka.

Na budowę domu Towarzystwa szt. pięknych. Kłopotowski z Charkowa k. 50; Bronisław Gaj student k. 50.

Na Kasę Mianowskiego. Br. Gaj student k. 50.

Dla biednych. Br. Gaj student kop. 50.

Na pomnik Mickiewicza. Br. Gaj student kop. 50.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Мая 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.